



P.10267



D W U T Y G O D N I K I L U S T R O W A N Y

ROK III

I M A J 1939

Nr 7-8

Posuwamy się różnie naprzód

Zdrowym optymizmem nacechowane było sprawozdanie prezydenta m. st. Warszawy, Stefana Starzyńskiego, za okres gospodarki miejskiej od 3. III. 1934 r. do 23. II. 1939 r., wygłoszone na 50-tym posiedzeniu Tymczasowej Rady Miejskiej.

Jest to optymizm, oparty na cyfrach i faktach realnych, w których wyraziła się energia twórcza w gospodarce Stolicy, w ostatnim pięcioleciu. Fakty dokonane i cyfry osiągnięć na rozmaitych polach gospodarki miejskiej, pozwalają p. prezydentowi Stolicy z całym przekonaniem stwierdzić, że „rozwój ten postępuje w szybkim tempie i że chociaż zadania i potrzeby Stolicy są przeogromne, *nie stoimy w miejscu, a posuwamy się różnie naprzód.*

Rozwój Warszawy uderzający jest zwłaszcza dla tych, którzy pamiętają czasy gospodarki zaborców.

Gospodarka rosyjska w stosunku do Warszawy miała ściśle określone i sprecyzowane cele polityczne: 1) zahamować rozwój miasta (otoczenie miasta koliskiem fortów, które nie miały żadnego znaczenia obronnego, hamowały natomiast rozbudowę Warszawy), 2) zatrzeć o ile możności charakter Warszawy, jako stolicy i zepchnąć ją do poziomu rosyjskich miast gubernialnych. Celowi temu służyło wznoszenie cerkwi w stylu moskiewsko-bizantyjskim (sobór na dawnym placu Saskim, cerkiew garnizonowa w Al. Ujazdowskich, fatalne zeszpecenie pałacu Staszica i in.), zaniedbanie i rujnowanie zabytków przeszłości (Arsenał, przemieniony na więzienie, zaniedbany pałac Blanków, pałac Mostowskich, gmach dawnego Banku Polskiego i w. in.). Wreszcie celowi temu służyło przeszkadzanie wszystkiemu, co mogłoby Warszawę ozdobić jakimś gmachem monumentalnym, pomnikiem. Na przedstawionym mu planie projektowanego nowego dworca kolei Warsz.-Wiedeńskiej, ówczesny minister komunikacji, J. Witte, napisał własnoręcznie: „zbyt piękny dla Warszawy“ — i projekt poszedł do kosza. Zezwolenie na wzniesienie pomnika Mickiewicza, Szopena, na budowę trzeciego mostu na Wiśle (obecnie ks. Józefa Poniatowskiego) — to

były wielkie „zdobycze polityczne“ ówczesnych „ugodowców“.

Gospodarka polska w Warszawie po odzyskaniu niepodległości musiała, oczywiście pójść w kierunku odrobienia celowych zaniedbań i zniekształceń półtorawiekowej blisko gospodarki zaborców, na przywrócenie Warszawie charakteru polskiego, zachodnio-europejskiego i nadaniu jej piętna stolicy wielkiego, mocarstwowego państwa.

Ale pierwsze pięciolecie tej gospodarki musiało być poświęcone usuwaniu skutków zniszczeń wojennych. Potem przyszedł wielki kryzys gospodarczy, który musiał odbić się na gospodarce Stolicy.

Dopiero w ostatnim pięcioleciu 1934—1939 gospodarka ta nabiera rozmachu, zaś Warszawa — prawdziwie stołeczny styl.

Szacunek dla przeszłości, wielka staranność o przywrócenie dawnej świetności klejnotom architektury i pamiątkom historycznym łączy się w gospodarce Stolicy z energiczną realizacją planów i zamierzeń, które decydują o przyszłym świetnym rozwoju Stolicy.

Wyrazem kultu dla przeszłości jest odnowienie pałacu Blanka, Arsenału, odbudowa części murów obronnych Warszawy średniowiecznej.

Osiągnięcie teraźniejszości w zakresie kultury wyrażają się w ukończeniu Muzeum Narodowego, w budowie bulwarów nad Wisłą, zaprojektowaniu i częściowej realizacji nowych dzielnic, w rozwoju budownictwa domów mieszkalnych i gmachów publicznych szkół miejskich, szpitali.

Od czasów przedwojennych terytorium Warszawy wzrosło czterokrotnie z 3,5 do 14 tys. ha. Ludność wzrosła o pół miliona blisko. Wiadomym znakiem wzrostu Warszawy jest przeniesienie lotniska z Mokotowa na Okęcie, pola wyścigowego — na Służewie do miejscowości doniedawna jeszcze niczym nie związanych z Warszawą.

Rozrostowi temu towarzyszy powiększenie wydatków inwestycyjnych, które w pięcioleciu

1929—34 wynosiły 139,7 miln. zł, zaś w pięcioleciu 1934—39 — 171,2 miln. zł.

Nawierzchni ulic ulepszonych przybyło w pięcioleciu 1924-29 — 428 tys. m, w następnym — 433 tys., zaś w ostatnim 1934-39 — 1.297 tys. m kw.

Na przestrzeni 500 m zbudowano nowe bulwary od mostu Kierbedzia do mostu kolejowego. Realizują się tedy dawne marzenia urbanistów warszawskich, Warszawa zwraca się „frontem ku Wiśle“ (Wokulski w „Lalce“ B. Prusa).

Ukończono projekt budowy nowego mostu przez Wisłę, który będzie prawdziwą ozdobą Stolicy.

Przeprowadzono liczne prace melioracyjne, zbudowano 56,8 km kanałów, gdy do r. 1934 — tylko 3,26 km.

Powstają nowe boiska, kąpieliska, ośrodki wychowania fizycznego.

Budownictwo mieszkaniowe rozwija się w coraz wzrastającym tempie i w latach 1934—38 zbudowano 78,7 tys. nowych izb mieszkalnych, gdy w latach 1924—28 tylko 26,4 tys.

Liczba parków, zieleńców wzrosła o 58 ha, Gmina m. st. Warszawy nabyła prócz tego lassek Bielański, las na Kole, Olszynkę Grochowską i las Kabacki — razem 1.798 ha.

Sieć wodociągowa wzrosła o 98 km, sieć kanałów miejskich — o 82 km. Dziś już 95% ludności Stolicy korzysta z wody wodociągowej i 75% — z urządzeń kanalizacyjnych. Wytwórcość energii elektrycznej w ostatnim pięcioleciu wzrosła do 121 miln. kWh, gdy w poprzednim wynosiła tylko 6 miln. kWh. Jest to błogosławione następstwo wydarzenia elektrowni z rąk koncesjonariuszów zagranicznych i prowadzenia jej obecnie przez Zarząd Miejski.

Sieci gazowej przybyło 112,8 klm, liczba odbiorców gazu wzrosła o 20,7 tys., gdy w pięcioleciu poprzednim zwiększyła się o 3,3 tys.

Długość ulic oświetlonych gazem wynosi obecnie 183 km, elektrycznością — 365 km.

Rozwija się i wzrasta sieć komunikacyjna, ruch tramwajowy i autobusowy. W r. 1938 ruch tramwajowy osiąga cyfrę 48 miln. wozokilometrów, wzrasta o 28 proc. w stosunku do

pięciolecia poprzedniego. Ruch autobusowy osiąga 5 miln. wozokilometrów w r. b. Buduje się dworce dla autobusów zamiejskich. Utworzono Biuro Studiów Kolei Podziemnej.

Opieka Społeczna w Stolicy pozbyła się pęt biurokratycznych, oparła się na czynniku społecznym (opiekunowie społeczni). Akcja skierowana jest przede wszystkim ku poprawie warunków zdrowotnych dzieci i młodzieży szkolnej (kolonie i półkolonie letnie, dożywianie dziatwy w szkołach), ku organizowaniu poradni i ośrodków zdrowia, opiece nad niemowlętami.

W zakresie oświaty i kultury wskazać należy na przybytek 475 nowych sal szkolnych w pięcioleciu ostatnim, na wzrost liczby szkół zawodowych, na organizowanie dokształcającego szkolnictwa zawodowego, oświaty pozaszkolnej, świetlic, Biblioteki Publicznej.

Wystawa r. 1944-go nowym czynnikiem rozwoju Stolicy.

W sprawozdaniu swym, charakteryzującym rozwój Warszawy w ostatnim pięcioleciu, prezydent St. Starzyński podniósł znaczenie Wystawy Powszechnej, która ma być otwarta w r. 1944 dla przyszłego rozwoju Stolicy.

„Wielką rolę w życiu Państwa, a w szczególności Stolicy“ — mówił p. prezydent — „odegra Polska Wystawa Powszechna w 1944 roku“.

„Rząd sprawę tę już zdecydował i uchwałą Rady Ministrów w dn. 25 listopada 1938 r. postanowił zorganizowanie wystawy w 25-lecie Niepodległości na terenie Warszawy, powołując Komitet Organizacyjny pod przewodnictwem Prezydenta Miasta, a przy udziale przedstawicieli ministerstw, samorządu gospodarczego i terytorialnego.

„Roboty przygotowawcze na terenach wystawowych są już w toku“.

„Powierzenie urządzenia Wystawy Warszawie, stolicy kraju — zaznaczył słusznie p. pre-

zydent St. Starzyński — ma ogromne i symboliczne znaczenie dla całego Państwa“.

„Geografia Warszawy, położenie w centrum kraju na przecięciu szlaków komunikacyjnych, predystynuje Warszawę do tej roli, a do tego trzeba dodać, że jadące na Wystawę liczne rzesze Polaków z kraju i zagranicy będą gośćmi Stolicy Państwa, zapoznając się z nią, często po raz pierwszy w życiu. Dla wychowania obywatelskiego, dla młodzieży odległych miast i wsi ma to ogromne przeciwieństwo znaczenie.

„Wystawa przyczyni się niewątpliwie do przyspieszenia tempa rozbudowy Warszawy.“

Sprawy pracownicze.

Człowiek jest źródłem i realizatorem czynów.

Dlatego, gdy wraz z prezydentem m. st. Warszawy, St. Starzyńskim, z dumą i radością stwierdzamy, że w gospodarce i rozwoju Stolicy nie tylko „nie stoimy w miejscu, a posuwamy się raźnie naprzód“ — niepodobna pominąć czynnika człowieka, pracownika miejskiego, na którego barkach w większym lub mniejszym stopniu — zależnie od stanowiska, jakie dany pracownik zajmuje — spoczywa realizacja czynów decydujących o postępie Stolicy. Duch inicjatywy i energii twórczej, umiowanie Stolicy, realizacja wielkich planów rozwojowej przyszłej świetności, nie mogłyby znaleźć wcielenia w konkretnych czynach i osiągnięciach, gdyby nie chętna, sprężysta, częstokroć — twórcza praca tej wielotysięcznej rzeszy urzędników i pracowników miejskich, którzy stoją przy warsztatach bezpośredniej pracy dla dobra i rozwoju Stolicy.

Sprawom pracowniczym p. prezydent St. Starzyński poświęcił odpowiednią uwagę zaraz na wstępie swego sprawozdania.

Wskazując na globalny wzrost wydatków personalnych w budżecie miejskim i na stosunkowe podwyższenie wynagrodzenia pracowni-

ków w różnych dykasteriach Zarządu Miejskiego, p. prezydent zaznaczył jednak, że „sprawy pracownicze generalnie nie zostały uporządkowane, gdyż ustawy wniesione na poprzedniej kadencji do ciał ustawodawczych nie zostały dotychczas uchwalone“.

Z tej samej przyczyny nie został dotychczas usunięty niekorzystny stan stosunków emerytalnych, spowodowany niedostosowaniem do życia i warunków Gminy statutem emerytalnym z 1932 r.

Troska Zarządu Miejskiego o interesy pracowników i warunków ich bytu wyraziła się w przeprowadzonej akcji oddłużeniowej, która objęła 1.300 osób, kosztem 1.749 tys. zł. Globalna suma zadłużenia pracowników znacznie spadła. Wielu pracowników wydobyło się całkowicie z ucisku zadłużenia.

W stadium zapoczątkowanym jest spółdzielnia mieszkaniowa i spółdzielnia kredytowa pracowników miejskich.

Z organizowanych przez Gminę Stołeczną wszasów pracowniczych w lecie 1938 r. skorzystało blisko 2.000 osób. Koszt dwutygodniowego pobytu w pensjonacie w Tatrach wynosił 44—71 zł.

Do kierowania akcją oddłużenia, wczasów itd. powołana została *Pracownicza Komisja Samopomocy Społecznej*, złożona z pracowników miejskich.

Należy oczekiwać, że już w przyszłości najbliższej sprawy uposażenia i emerytur pracowników miejskich zostaną uporządkowane generalnie przez uchwalenie odpowiednich ustaw przez ciała prawodawcze.

Jasne jest bowiem, że wzrastającemu tempu rozwoju Stolicy we wszystkich dziedzinach jej życia nadążyć mogą tylko pracownicy ze swego losu zadowoleni, mający byt oparty o mocny grunt ustawowy, wolni od najdokuczliwszych trosk materialnych i mający perspektywę zabezpieczenia swej starości. I te sprawy muszą „rażno posunąć się naprzód“.

W O B L I C Z U H I S T O R I I

Czujemy to wszyscy, że rozwój wypadków w Europie postawił nas w obliczu Historii.

Musimy zdać egzamin, odpowiedzieć czynami na pytanie Konradowe, które stawia nam świat i Historia: czy jesteśmy wielcy, czy też tylko dumni?

„Skazani jesteśmy na wielkość“ — powiedział nam Józef Piłsudski — „na rubieży dwóch światów — nienasyconego świata germańskiego i światoburczego imperializmu moskiewskiego, czającego się pod maską komunizmu; nie masz miejsca dla słabego Państwa i Narodu. Polska nie może być wasalem ani „republiką związkową“. Polacy muszą wykazać siłę i stanowczość mężów, gotowych do śmiertelnych zapasów o honor narodu niepodległego, o nietykalność swych praw i granic, o przyszłą wielkość następnych pokoleń“.

go, o nietykalność swych praw i granic, o przyszłą wielkość następnych pokoleń“.

Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej jest jedną z prób tego egzaminu dziejowego, wobec którego postawiła nas Historia.

Naszą jedność i zwartość wykazać musimy w powszechnym uczestnictwie w tej Pożyczce wszystkich warstw, klas i grup społeczeństwa — każdy w najwyższej mierze jej możliwości.

Naszą gotowość wykazemy w szybkiej natchmiastowej realizacji tej Pożyczki.

Tylko narody zwarte i gotowe do wszelkich ofiar z mienia, krwi i życia wyjdą zwycięsko z ciężkiej obecnej próby dziejowej.

Nasza zwartość i gotowość, która imponuje dziś całemu światu, musi znaleźć swój realny

wyraz w natychmiastowym złożeniu pieniędzy na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej.

Lotnictwo — to tarcza naszej obrony i bezpieczeństwa, to skrzydła dawnej husarii polskiej, unoszące najprzedniejsze rycerstwo polskie ku niebu chwały i zwycięstwa.

Uczyńmy, by skrzydła te były potężne, a tarcze ich obrony — niezwyciężone i nieprzełamane!

Zakupujmy bony i obligi Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej!

Dotychczas przy obliczeniu niepełnym, przeszło 20.000 pracowników miejskich złożyło na fundusz Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej kwotę ponad 2.400.000 zł.

WROGOWIE, SPRÓBUJCIE! —

oto treść jedyne go słowa, które zawisło dzisiaj w Polsce na ustach wszystkich.

Nie jesteśmy zbyt bogaci, lecz mimo to do kas subskrypcyjnych Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej ciśniemy się wszyscy. Sprawnie i szybko oszczędności długich nieraz miesięcy i lat zamieniane są na obligacje i bony Pożyczki. Roziskrzane oczy, w poczuciu spełnionego obowiązku, zdają się przemawiać do tych, co by się wazyli targnąć na całość granic i majestat Rzeczypospolitej:

SPRÓBUJCIE! — jeżeli chcecie poznać śmiertelną moc polskich bagnetów i skrzydeł!

Ludzie pracy w Polsce w szlachetnym wyścigu ofiarności, składają dziś dowód w obliczu całego świata, iż skrzydła, co daleko sięgną i oręża, który śmiertelnie ugodzi wroga, nie zabraknie nam w potrzebie.

Tadeusz Cieślewski syn

Ryciny warszawskie

Warszawa, jako urbanistyczny zespół architektonicznych fragmentów, taka Warszawa, z cegły, kamienia, blachy, drzewa, cementu, czy czego tam jeszcze, jest zjawiskiem zmiennym i to częstokroć tak dalece, że z gruntu przeznaczanym. Już w obrębie tylko czasów mojego życia, przeistoczeń było tyle, że w wielu wypadkach nie można odnaleźć nic z tego co było kiedyś, wzamian widząc wiele tam, gdzie dotąd nic nie było. I oto, żeby zobaczyć Warszawę, tę która kiedyś była dotykalna i widzialna w murze — trzeba pojsć do Muzeum i tam odnaleźć jej odwzór, jakże wzruszająco trwałe, w dziełach rysowników, malarzy i grafików.

Na płótnach zbudowana z farb olejnych i na papierach z farb wodnych i drukarskich, widzimy ją niezmienną, dostępną widzeniu oczu pragnących oglądania tego, co kiedyś w rzeczywistości oglądały inne oczy.

Tak, ale czyżby to oczów widzenia oglądamy, wpatrując się w dawne malowidła albo ryciny.

To są widzenia artystów.

I właściwie, oglądając ich dzieła, patrzymy na Warszawę wprawdzie, ale na Warszawę powiedzmy Canaletta, czy Podkowińskiego. Właśnie, (jeżeli sięgniemy do nazwisk współczesnych) wędrując skroś apartamenty wystaw sztuki, oglądamy Warszawę Kopczyńskiego, Warszawę Cieślewskiego Seniora, Warszawę Skoczylasa, albo Warszawę Wyczółkowskiego.



Jedyny widok Warszawy od strony Nowego Miasta z r. 1662 opublikowany po raz pierwszy w biuletynie Historii Sztuki i Kultury zakł. architektury Politechniki Warszawskiej przez A. Wiczorkiewicza.

Cóż to znaczy? Prostu to, że każdego artystę interesują inne tematy, a jeżeli nawet te same, to w innym ujęciu.

Jednego artystę interesuje powiedzmy Warszawa w słońcu, innego Warszawa w śniegu, a jeszcze innego Warszawa we mgle.

Dla jednego Warszawa jest barwna, dla innego szara, dla tego tętniąca codziennością życia, dla innego nasycona fantastycznością tajemnicy.

I nawet fotograf, każdy inaczej podgląda miasto, które z pozoru jest murowane sztywne. Jeden mistrz obiektywu patrzy na Warszawę z dachów, inny z powierzchni chodników. Ba, fotografie Przypkowskiego pokazują nam zbliżenie fragmentów tak zwykłych, że właściwie, świadomie ich nie widzimy, ale zobaczywszy je na fotografii, cieszymy się: Ależ tak to takie Warszawskie!

Gdy chodzi o graficzną ikonografię Warszawy, muszę wyznać że nie jest ona szczególnie bogata, jeżeli się weźmie pod uwagę, rzecz prosta, prace mogące się zaliczyć do dziedziny zjawisk zwanych dziełami sztuki.

Pokątnych dyletantów pitraszących widoczki jest zastęp spory, ale ich sposób zarobkowania nie może być uważany za pracę artystów.



Canaletto:

Plac Bernadyński.

A pracą artysty jest szczególny wysiłek stworzenia zarówno w sposobie materialnym jak metafizycznym, czegoś zastanawiającego.

Przeciętne odtworzenie w akwaforcie czy olejnej farbie przeciętności jest właśnie i jedynie przeciętnością.

To też jeżeli utyskuję na szczupłość ilościową dorobku graficznego w zakresie ikonografii Warszawy myślę o wartości jakościowej.

I powiedziałbym, że nawet to co zrobiono interesującego w grafice na temat architektonicznej i urbanistycznej urody stolicy, zrobiono jakgdyby na marginesie innych zaciekawień artystycznych.

Czy to będzie Wyczółkowski czy Skoczylas, poświęcili oni swe talenty Warszawie jedynie przelotnie, jakkolwiek tworząc dzieła wartościowe.

Wszakże krótko mówiąc, w grafice nie ma dotąd Warszawa swego Piranesiego czy Merona, jak Rzym, albo Paryż.

To znaczy, nie ma monumentalnego ikonografa akwaforcisty, czy drzeworytnika jak miała ongiś malarza w osobie Canaletta.

Być może popełniam błąd, domagając się tego co było na porządku dziennym dwieście lat temu. Ale cóż poradzić na tęsknotę do wielkich rycin, wielkich nietylko ujęciem ale i centymetrami. I, jeżeli mowa o takiej tęsknocie, przychodzi mi na myśl Konstanty Brandel ze swoimi „Syrenami” — ryciną, która spełnia właśnie warunki wielkości podwójnej, — koncepcji artystycznej i rozmiarów.

W akwaforcie Brandla panuje duch monumentalności, tak dalece, że kiedy się ją ogląda w niewielkiej reprodukcji robi wrażenie

kompozycji o wymiarach fresku czy gobelinu i pisać w tej chwili o tym nie mogę się oprzeć potrzebie marzenia o tkaninie będącej samą pozycją tej akwaforty na czarodziej-

stwo barw przez Szymańskiego. Zawieszona na Ratuszu Warszawskim stanowiłaby nieustannie źródło wzruszeń artystycznych.

W akwaforcie natchnionego artysty znajdujemy cechy wielkości bodajże Renesansowej. I właśnie cykl tak ujętych rycin na temat Warszawy wypełniłby lukę jakiejś w ikonografii Rzymu powiedzmy nie ma dzięki Piranesiemu. Wysunąłem nazwisko Brandla nie licząc się z chronologią wizerunków Stolicy w grafice.

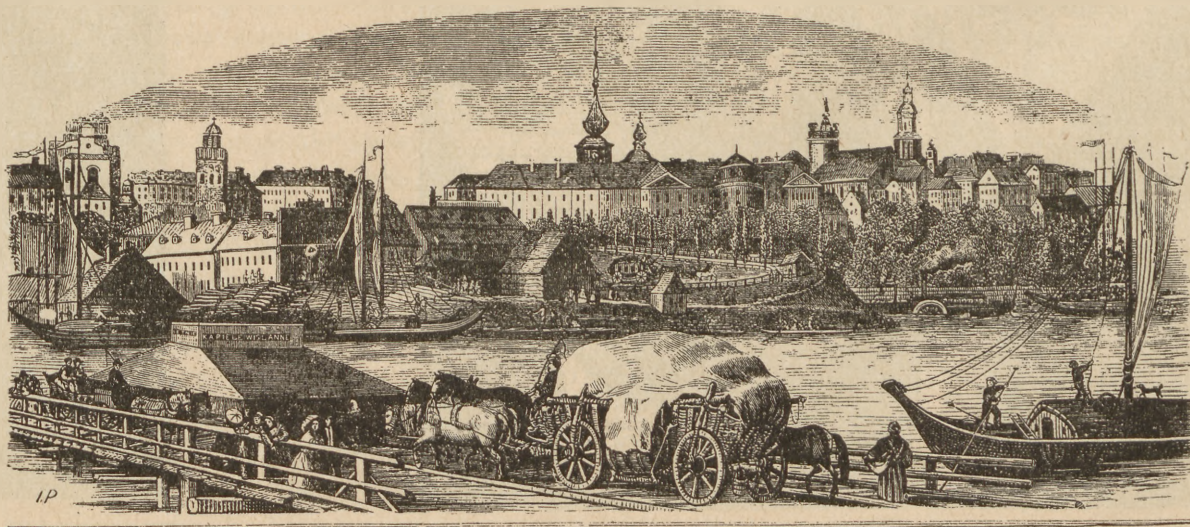
Ale żeby tej zasadzie zadość jednakże uczynić wróć do dawności sygnalizując między innymi Dahlberga z 1656 roku i ryciny R. de Tirregaille'a z 1670 r. pozostawiając zresztą historykom sztuki moźół gruntowności w tej dziedzinie i przechodząc do rycin Canaletta. Zreprodukowana przy artykule niniejszym rycina włoskiego artysty jest wyobrażeniem miasta uroczystym. Jest to ujęcie „pejzażowe”. Mamy tam nie jakiś ciasny fragment ale rozległą panoramę dzielnicy z domami, ludźmi i niebem. Wszystko ujęte obszernie, dostatnio. Jest to etap pośredni między rycinami w rodzaju „Varsovia” z Brauna „Theatrum Urbium Orbis Terrarum” z XVI wieku a „Warszawą z Syrenami” Brandla z XX wieku.

Jeżeli chodzi o Warszawę, była to ostatnia rycina monumentalna na jej temat, Dzisiaj.

Po epoce Canaletta przyszły czasy przedstawiania jedynie fragmentów miasta.

Widoków miasta nie komponowano już rozłożysto, wspaniale, epicko.

Nadeszły czasy lirycznych ułamków. Zresztą jeżeli chodzi o grafikę, to była ona echem



„Nagłówkowy drzeworyt „Tygodnika Ilustrowanego” z 1861 roku. Most na Wiśle naprzeciw ul. Fednarskiej.

malowideł i rysunków. Rysunków coprawda wykonanych bezpośrednio na drzeworytniczym klocku; a więc zniszczonych przez rytowników, ale autorami danego motywu było dwóch ludzi, rysownik i rytownik.

Pary te bywały, nawiasem mówiąc, niebylejakie. Taki Aleks. Gierymski pod pachą z Gorazdowskim to nie było co! Talent rytownika polegał w tej spółce, na finezji efektów faktury drzeworytniczej interpretującej efekty światłocieniowe rysunku, czy malowidła malarza. Stare roczniki Kłósów, Tygodnika Ilustrowanego, czy Powszechnego, Kalendarze Ungra, oto księgi nie zwietrzałego uroku drzeworytniczego wogóle, a jeżeli chodzi o piękno Warszawy szczególnie. Wobec szczupłości miejsca podaję w reprodukcji dwa pełne rzewnego wdzięku naiwności przykłady, obydwie „sensacyjne” na tle dzisiejszego rozwoju urbanistycznego stolicy. Pełna czaru staroświeckiego jest karetka i ruch pieszny na placu Teatralnym i most na Wiśle nawprost ulicy Bednarskiej. — Ten drugi drzeworyt jest nagłówkiem tytułowym Tygodnika Ilustrowanego w roku 1861. Więcej szczegółów ikonografii Warszawy, z tych czasów zanotowałem w przedmowie do katalogu wystawy „Warszawa w obrazach” (w Zachęcie, 1936 roku). W opracowaniu mam całość bardziej gruntowną.

Kończąc napomknienie o tej drzeworytniczej ikonografii dawnej Warszawy, podkreślam że zawierała ona także wiele momentów rodzajowych i aktualnych i z tego punktu widzenia są one nieocenionym materiałem dla szperaczy dawności.

Poza drzeworytnikami wśród dawnych ikonografów Warszawy należy zapamiętać też akwatinty Dietricha, a szczególnie cykl wedle Piwarskiego w związku z Powstaniem Listodowym.

Poza wspomnianą akwafortą Brandla inne ryciny nowych czasów na tematy warszawskiego uroku architektonicznego zawierają swe tematy w granicach realizmu, z akcentami lirycznych nastrojów. Zofia Stankiewiczówna trzyma, tutaj, jeżeli chodzi o akwafortę palmę pierwszeństwa. Stosunek artystyczny do tematu jest rzeczowy. Efekty światłocieniowe wyprawia Stankiewiczówna z laboratorium faktury akwafortowej z dużym, a bodaj głównym,

oparciem się o nadawanie farby na płytę wzorem zresztą precendensów podpisywanych ongiś przez Rembrandta, a współcześnie Brangwyne’a. Mrok i blask są w tak pojętej akwafortie dwoma żywiołami, staczającymi potyczki i walki, lub celebrującymi misteria taneczne pośród scenarii układów architektonicznych.



W. Skoczylas:

Kolumna Zygmunta.

Obfitym ilościowo, bardziej wyrafinowanym w efektach graficznych, ale nieco nonszalancki w rysunku był Feliks Jabczyński, alchemik faktur najbardziej nieoczekiwanych.

Doraźnie wykonali kilka akwafort Ignacy Łopieński, Rzecki Stanisław i mój Ojciec. Wreszcie dwadzieścia parę rycin wyszły z mojej pracowni, w tym osiemnaście do cyklu wierszy Or-Ota w wydaniu J. Mortkowicza.

W litografii wyobrażali Warszawę Wyczółkowski i Siedlecki Franciszek. Tekę tego drugiego, litografii barwnych, jest dzisiaj rzadkością.

Wyczółkowski poświęcił tę swoją wyłączność Staremu Miastu, lubując się urokiem kamieniczek o trzykondygnacyjnych frontach, skomplikowanej koronie dachów, falujących dachówką holenderską, i zaludnionych kominami, urokiem kamieniczek pełnych okien, bramek, wywieszek, emblematów.

U Wyczółkowskiego zachowała się też dawna, za czasów zaborów jeszcze usunięta, Syrena na wodotrysku, przy którym Trepow „do stał po pysku”.

Werwa wszelakich zetknięć kredki litograficznej z kamieniem zapisała cykl wizerunków o niepożytej smakowitości estetycznej. Są to relacje narratora pełnego temperamentu i entuzjazmu. Poza cyklem Staromiejskim, istnieje kilka jego litografii na temat teatru w Łazienkach w efekcie zimowym.

Usiłowanie oddania w słowie piękna tych rycin jest wysiłkiem daremnym. Zawieszone w Muzeum Ikonograficznym Warszawy powinny być dostępne oczom wszystkich tych, którzy chcą się uważać za ludzi kulturalnych.

Kilka litografii na tematy warszawskie wykonał Tom Józef i Kopczyński Bronisław.

Drzeworytnicze wizerunki Warszawy mają w zmarłym Skoczylasie i we mnie — jeżeli chodzi o ilość — zasadniczych przedstawicieli. Łuźno tylko ten czy inny motyw wycięli Chrostowski, Kłopotka, Wąsowicz, Manteuffel, Uleyski, Wiszniewski, Gardowski. Wśród nich maestrią, niemal stalorytniką, zadziwia w swoim „Sztapie Generalnym” Chrostowski, a finezją drzeworytniczego rylca — Manteuffel.

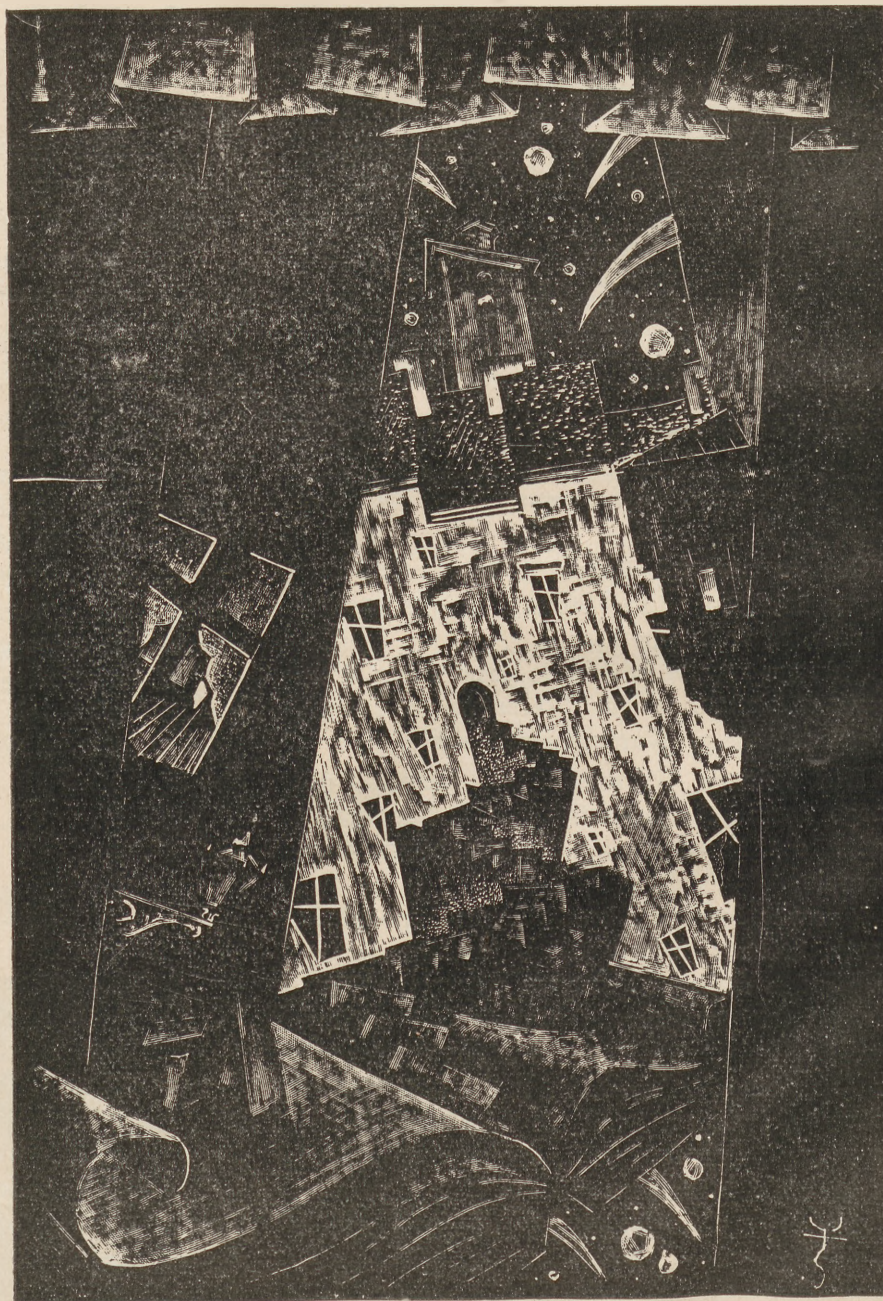
Osobną grupę stanowią drzeworyty znakomitego czarodzieja drzeworytniczej faktury, Stefana Mrożewskiego, który uzupełnił swymi rycinami tekst Szelburg Zarembiny, p. t. „Legenda Warszawy” w wydaniu Tow. Bibliofilów Polskich w Warszawie.

W Polsce, ikonograficznie rzecz biorąc, Warszawa występuje tam podrzędnie i w dowolnych fantazjach na temat dawności. Jak zwykle, poza cyklem Holandii, u Mrożewskiego naczelną rolę gra człowiek, a ściślej mówiąc lu-



T. Cieślowski syn

Błędnik Staromiejski



T. Cieślowski syn

Halucynacja Staromiejska

dzie — w gromadach, tłumach, tłoczeni, zakłęci w rytmach wspólnoty.

Skoczył, wypróbował w roku 1927 po raz pierwszy rylca wielorytowego, wrócił do niego w 1929, wycinając najpierw cykl motywów Krakowskich, a potem Warszawskich, głównie w roku 1930.

W drzeworytach na ten temat uderzał w ton patosu czarno-białego, zaopatrując motywy miejskie w dramatyczne nieba pełne skłębiących obłoków i promieni słonecznych. Sama architektura opowiedziana jest w radykalnej lapidarności przeciwstawienia czerni i bieli.

Żeby Warszawa, jako temat miała być dla Skoczylasa jakimś głębszym artystycznie przeżyciem, tego ryciny artysty nie zdradzają.

Jestem w dziwacznym i niewygodnym położeniu autoreferenta. Skoro już jednak tak wypadło, nie mogę na to nic poradzić. Skorzystam więc z okazji „wyjaśnienia“, czym jest dla mnie Warszawa jako doznanie artystyczne.

Obiektywizm realistyczny w moich drzeworytach oczywiście daremnie byłoby szukać. Moja Warszawa jest „Theatrum“ szczególnym, i nawet te z moich rycin, które nie zawierają żadnych aluzji pozaurbanistycznych, stanowią właściwie transpozycje efektów „murarskich“ na drzeworytnictwie. Cieszą się wymową wizualną profilów wspólnych sylwet budowli zrośniętych w całości, ale niesyty nimi zestawiam budowle, w rzeczywistości odległe przestrzennie. W ten sposób od motywów ikonograficznych przechodzę do kompozycji i wreszcie do fantastyki.

Warszawa jest dla mnie księgą i okrętem, a także sceną pełną kulis — domów. Jest ona błędniakiem majaceń sennych i nie podlega

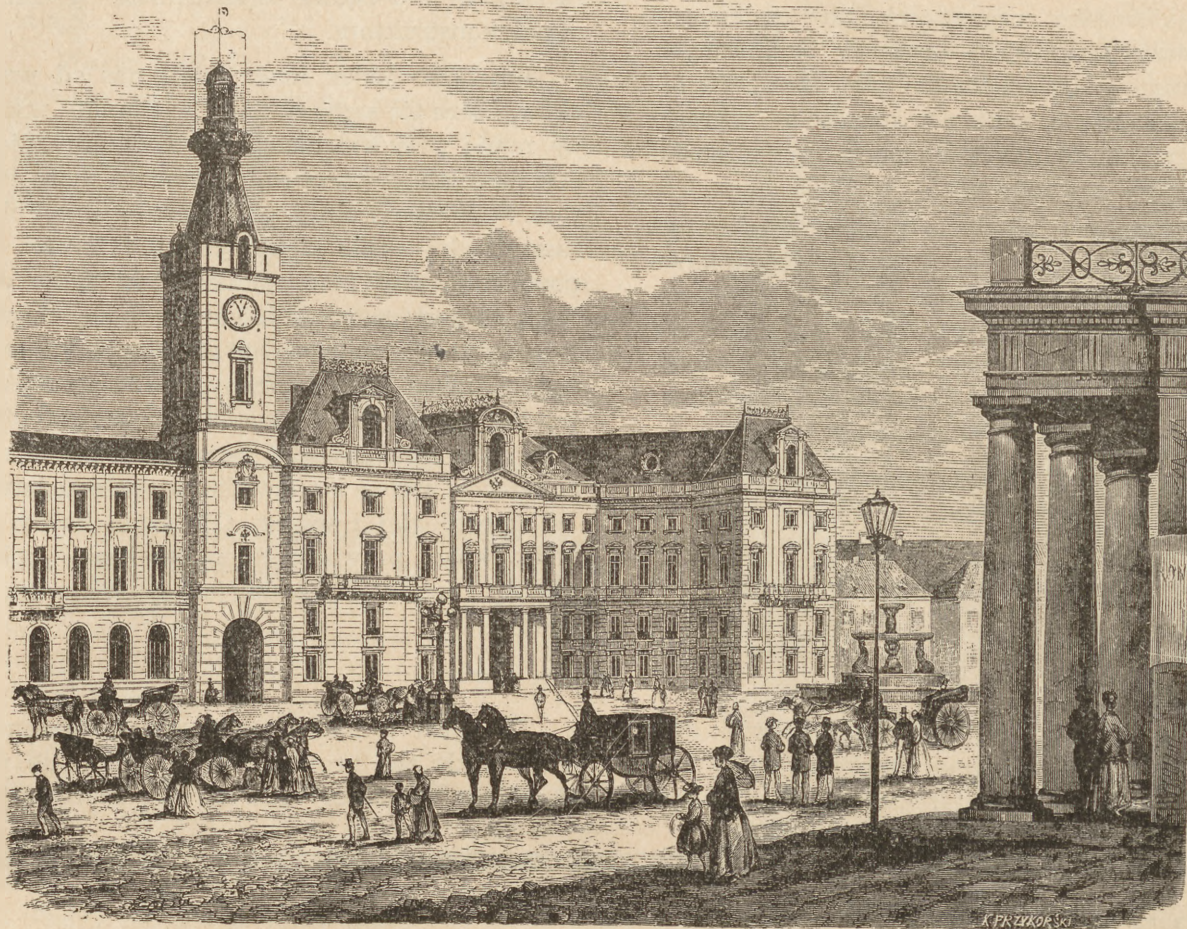
żadnym innym rygorom poza falowaniem wyobraźni.

Stąd takie drzeworyty jak „Zaulek marzenia“ albo „Kulisy zaułków“, czy „Okręt symboliczny“ lub „Księga — Miasto“.

Myszę, że jeżeli wolno w prawdziwej, muryrowanej Warszawie obracać w gruzy stare jej

budowle i wznosić na ich miejscu inne, to tym bardziej wolno mi rylcami dokonywać przeinaczeń urbanistycznych na powierzchniach moich klocków drzeworytniczych.

Zresztą plastyka również jest sztuką jak poezja, a więc dopuszczalna, a bodaj nieodzowna jest w niej także „licentia poetica“.



Ratusz w Warszawie w połowie XIX wieku.

...„pójdziesz do szewca“

...„oddam cię do kowala“

...„ślusarzem chcesz zostać?“

Młody chłopak, piętnastolatek, któremu słówka francuskie i koniugacje łacińskie jakoś się dziwnie mieszały z równaniami kwadratowymi i z dziejami Karolingów... siedział skulony nad mapą fizyczną Ameryki południowej i rozmyślał nad tym, dlaczego to Pitagoras aż sto byków złożył na ofiarę bogom za odkrycie cudacznego twierdzenia o trójkątach prostokątnych... tego właśnie twierdzenia, za które on, uczeń piątej gimnazjalnej, dostał wczoraj notę „nieдостateczną“ za jednego tylko „byka“...

...Siedział, myślał, medytował... i, wspierając kolejno palce lewej ręki na stole, liczył: „dwója“ z matematyki, „dwója“ z łaciny, „dwója“ z historii... liczył, a po każdej odliczonej „dwóji“ jakiś głos wewnętrzny przypominał mu jedną z groźnych obietnic surowego ojca: „...pójdziesz do szewca!...“, „...oddam cię do kowala!...“, „...ślusarzem chcesz zostać?...“, „...a no trudno, nie chcesz być człowiekiem...“, „...nie chcesz być człowiekiem?...“. Prawda, gdyby był lekarzem, adwokatem, rejentem, dziedzicem choćby na pół-włóce ziemi, urzędnikiem, profesorem, sędzią, komornikiem, prokurentem... to byłby „człowiekiem“... ale zostać ślusarzem, kowalem... co za wstyd, jakie pohańbienie całej rodziny...

Do jednej ze szkół technicznych stolicy przybył z prowincji tęgi, ogorzały „szlagon“ i podkręciwszy sumiastego wąsa w te mniej więcej słowa zwrócił się do dyrektora szkoły: „...Panie Dyrektorze, mam syna, który na utrapienie moje nie chce się uczyć; był już w trzech gimnazjach, ciągle zbiera dwójce... dawałem korepetytorów, płaciłem nauczycieli..., nic nie pomaga, przyszedłem do przekonania, że gimnazjum nie skończy. Perswadowałem, tłumaczyłem, karałem surowo... a on jakim osłem skończonym był, takim i został. ...Czyby Pan Dyrektor nie zechciał się tym osłem zaopiekować i przyjąć go do swej szkoły?“

Stary pedagog, który w ukochaną szkołę prócz zapachu włożył i doświadczenie życiowe, i majątek własny, i długie lata znoej pracy, i który w pracy tej siwym włosem głowę przysproszył, poczuł się urażony w swej szlachetnej dumie propozycją zaopiekowania się „skończonym osłem“... i, choć mu żal było chłopca, postanowił odmówić przyjęcia go do szkoły, a ojcu taką dał odpawę: „Szanowny Panie, muszę Panu wyjaśnić, że szkoła nasza kształci młodzież dla przyszłej pracy w zawodzie, kształceniem „osłów“ się nie zajmuje. Sądzę, że będzie lepiej i o wiele właściwiej, gdy ten pański „osioł“ zostanie w rodzinie i pomoże w pracy na roli. Do szkoły technicznej „osły“ się nie nadają!“...

Pewien dzielny i wcale niegłupi chłopak, upodobałszy sobie zawód ślusarski, wstąpił po ukończeniu sześciu klas gimnazjum (dawnego typu) do jednej z prowincjonalnych szkół rzemieślniczych. Gdy instruktor nauczający w tej szkole ślusarstwa dowiedział się, że chłopiec ma ukończone pełne sześć klas średniej szkoły, tak się odezwał do ucznia: „...ty idioto, do ty, mając ukończone sześć klas gimnazjalnych, będziesz się kształcił na rzemieślnika?“...

W głowie „pana majstra“, którego wychowano w poczuciu niższości rzemiosła przed innymi „szlachetnymi“ zawodami, nie mogło się pomieścić tak niezrozumiałe zjawisko, jak to, że chłopak, który ukończył sześć klas gimnazjum, może zapragnąć zostać ślusarzem...?

Jedyne przypuszczenie, które jakoś godziło zakorzenione w głowie pana majstra tradycyjne pojęcia o rzemiośle i jego adeptach z niepojętym zjawiskiem świeżo zaobserwowanym było, że nowy kandydat do stanu rzemieślniczego nie jest przy zdrowych zmysłach... po prostu „idiota“...

Rokrocznie przed rozpoczęciem się zajęć szkolnych i na początku roku zgłaszały się do

dawnej szkoły rzemieślniczej wielkie gromady zatroskanych ojców i matek, ciotek i opiekunów z prośbą o przyjęcie na naukę do szkoły ich synów, siostrzeńców i wychowanków.

W dyskretnej rozmowie sam na sam z dyrektorem szkoły zażenowany rodzic czy rodzicielka prawie zawsze uważali za konieczne tłumaczyć się, co to właściwie skłoniło ich do oddania syna *tylko* do szkoły rzemieślniczej... Ile trudu i wysiłków, ile mozolnych przekonywań kosztowało nieraz dyrektora szkoły, aby wytłumaczyć rodzicom, że nie potrzebują się wstydzć kroku, że rzemiosło nie jest ani gorszym, ani niższym od innych zawodów i że rzemieślnik, jeśli tylko zechce i będzie ze znajomością rzeczy i zamiłowaniem uprawiał swój zawód, — nie będzie ani gorszym, ani niższym członkiem społeczeństwa pracy.

Szeroko rozpowszechnione przekonanie o niższości rzemiosła w porównaniu z innymi tzw. szlachetnymi zawodami i o niepełnej wartościowości rzemieślnika jako człowieka w społeczeństwie, przekonanie przekazane nam tradycją pokutuje, powiedzmy to szczerze, do dzisiejszego dnia. I skutkiem tego ojciec wstydz się, gdy oddaje syna na naukę rzemiosła... a syn wstydz się, że się rzemiosła uczy... A jakże to często się zdarza, że i rzemieślnik wstydz się swego zawodu, skrzętnie ukrywając tytuł. powiedzmy czeladnika ślusarskiego, pod przybranym tytułem: mechanika, monter, hydro, lub elektro-technika... itp.

Ustawą o ustroju szkolnictwa dotychczasowe szkoły rzemieślnicze zostały przekształcone na gimnazja mechaniczne, stolarskie, krawieckie itp. Co w ustawie tej przyniosła reforma szkolnictwa społeczeństwu, — mógł czytelnik znaleźć w artykule p. E. M., p. t. „Szkolnictwo zawodowe“ (str. 12 w nr 5-6 „Stolicy“). Ustawa niewątpliwie wpłynie w dużym stopniu na zmianę stosunku rodziców do szkolnic-

stwa zawodowego. Ale ustawa sama nie przeobrazi zakorzenionych fałszywych poglądów szerokiego ogółu na rzemiosło i rzemieślnika.

Czego nie jest w stanie zdziałać ustawa o ustroju szkolnictwa, to stać się musi wysiłkiem całego społeczeństwa.

Odmalowane na wstępie obrazki, których liczbę można by mnożyć wielokrotnie, charakteryzują szeroko rozpowszechnione mniemanie o niższości rzemiosła i zawodów technicznych przed innymi „szlachetnymi” zawodami. I z tego mniemania o niższości rzemiosła wyrosło inne mniemanie: — mniemanie o niższości szkolnictwa zawodowego...

Wspomniana ustawa o ustroju szkolnictwa niweluje ów „kompleks niższości” szkolnictwa zawodowego, lecz niweluje go tylko teoretycznie... Ustawa bowiem nie niweluje, bo uczynić tego nie może, pojęć szerokich mas o niższości pracy manualnej, nie niweluje ogólnego przekonania o niższości rzemiosła.

Może dzisiaj w przededniu oczekujących nas tytanicznych wysiłków w walce o istnienie, o wielkość i o potęgę państwa polskiego będzie najodpowiedniejsza chwila do wysunięcia interesującego nas zagadnienia na czoło i do ostatecznego przeorania zastarzałych konserwatywnych pojęć.

Dzisiaj każdy łatwiej niż kiedykolwiek zrozumie, że od dokładnego dotarcia przez rzemieślnika zaworu w silniku lotniczym może

zależać wygranie lub przegranie bitwy z nieprzyjacielskim nalotem, że do precyzji wykonania przez rzemieślnika pocisku armatniego zależy skuteczność jego działania. Dzisiaj łatwiej niż kiedykolwiek rozumiemy, że najgenialniejsze projekty, najznakomitsze wynalazki w dziedzinie obrony i natarcia będą papierowymi pomysłami, jeśli zręczna ręka rzemieślnika nie będzie dopełnieniem genialnej myśli konstruktora.

Już tylko jeden krok dzieli nas od wniosków, które się same narzucają: Stańmy wszyscy ramię przy ramieniu, wyrównajmy piersi rzemieślnika z piersiami inżyniera konstruktora... Nie pozwólmy, aby rzemiosło w Polsce niepodległej nosiło piętno jakiejś niższości, nie pozwólmy, aby rzemieślnik polski tylko dlatego, że jest rzemieślnikiem, czuł się półwartościowym obywatelem lub za takiego był uważany. Równy wśród równych, nie mniej potrzebny od innych obywateli, reprezentujących tzw. szlachetne zawody, rzemieślnik polski musi zająć właściwe stanowisko w społeczeństwie. W niepodległej i wolnej Ojczyźnie każdy zawód, który prowadzi ku pomnożeniu dobra, chwały i wielkości Polski, jest jednakowo szlachetny.

Ty, ojcze i matko, opiekunie i opiekunko, nie wstydź się, prowadź swego syna lub wychowanka do szkoły zawodowej, rozbudź w

młodym obywatelu szlachetne umiłowanie pracy, przedstaw mu wielkość, ważność i znaczenie rzemiosła, bez którego nie ma wielkiej Polski.

A jeśli to pismo zabłądzi do twoich rąk, młody kandydacie do zawodu — to pomnij, przyjacielu, że wszelkie wytwory ludzkie od najmniejszych zaczawszy i najmniej skomplikowanych aż do najpotężniejszych arcydzieł mechaniki i budownictwa włącznie są dziełem wspólnego wysiłku myśli pracownika umysłowego i sprawnych rąk rzemieślnika. Idź śmiało do pracy w rzemiosło, nie wstydź się, że może tylko śrubka w szybującym w przestworzu bombowcu będzie dziełem twojej rzemieślniczej ręki, bądź z niej dumny i uwierz, że bez tej twojej śrubki Ojczyzna się nie obejdzie... Bądź przekonany, że i ty, i lekarz, i inżynier, i szewc, i szwaczka, i kucharz, i policjant, i notariusz, i nauczyciel, i piastunka, i mechanik, i radiotelegrafista, i konduktor, i maszynista, i wielka długa, nieskończona litania przedstawicieli wszelkich zawodów jest bardzo, bardzo Polsce potrzebna. I uwierz, że ty, przysły rzemieślnik, ani gorszym, ani mniej wartościowym nie będziesz, jeśli tylko zawód swój pokochasz, jeśli jego znajomość pogłębisz wiedzą teoretyczną i jeśli w pracy nad swym doskonaleniem się nie ustanieś. Ucz się i pracuj: jesteś Ojczyźnie potrzebnym, a staraj się być niezastąpionym!

Głowa do góry, szlachetny rzemieślniku!

S. V.

Tymoteusz Sawicki

Zdobywamy Starą Warszawę

Warszawa rozrasta się w zwartym iście tempie. Na warsztatach urbanistów zwoje papieru niby taśmy aparatów telegraficznych przesuwają się rytmicznie, a na nich znaczą się coraz to inne zamierzenia rozbudowy stolicy. Nowe trasy, przebiecia, wiadukty, bulwary, burzenia, wykopy, regulacje, arterie — oto cały spłot wyrazów technicznych, o których doniedawna mało kto wiedział, a które dziś już wzbogaciły słownik niejednego z obywateli Warszawy.

Dzisiejsza Warszawa należy już nie tylko do urzędów i władz, ale także do jej mieszkańców, którzy dumni są ze swej stolicy i jej znakomitego rozwoju.

Niezależnie wszakże od inwestycji na terenie nowej Warszawy zdobywamy pięć po pięci Stara Warszawę, również cenną, również ważną, ale też i o wiele trudniejszą do zachowania i uporządkowania.

Dzielnica staromiejska do niedawna jeszcze zapoznana, dziś odzyskała należne jej miejsce na planie Wielkiej Warszawy. Nikomu też nie trzeba tłumaczyć jej wartości artystycznych. Nikt też już nie omija Starego Miasta, przeciwnie, chętnie je odwiedza szukając coraz to nowych w nim przemian.

A jednak jakże opornie idzie praca porządkowania tego odcinka miasta, która może wydać dobre rezultaty jedynie przy zgodnym współdziałaniu czynników urzędowych i społeczeństwa.



Fragment portalu przy ul. Piwnej Nr 18.

Zagadnień jest mnóstwo i różnej wagi gatunkowej. Weźmy dla przykładu mały choćby odcinek Starej Warszawy, jedną jej arterię — ulicę Świętojańską. Każdy z domów na niej — mówię tylko o fasadach — nie stanowi, być może, sam dla siebie wartości artystycznej, całość jednak w gabarycie i układzie parceli oraz charakterze zabudowania ma bezsprzeczny walor.

Szyldy zdjęte, reklamy w miarę możliwości dyskretnie umieszczone, zdawałoby się, że już nie nasuwają się żadne problemy do rozwiązania. A przecież w istocie tak nie jest. Przede wszystkim domy te nie są należycie remontowane. Fasady ich od niepamiętnych czasów tyle tylko są naprawiane, ile koniecznym jest

to dla zadosyć uczynienia nakazom władz konserwatorskich, czy budowlanych. Największą wówczas troską właściciela jest zresztą nie dobro zabytku, a uniknięcie kary przez pozorne zaspokojenie wydanych zarządzeń. Stąd łatanina, niepoważne traktowanie roboty, drobne poprawki oraz w konsekwencji zawsze szpetne malowanie fasad. Na dobre tynki nie każdy może, widać, sobie pozwolić, zwłaszcza, że z ich zmianą zawsze wiąże się konieczność dokonania zdjęć pomiarowych architektury fasady dla powtórzenia jej, czy skorygowania przy remoncie.

A pokrycia dachów. Z dołu wprawdzie niewidoczne nabierają one wagi przez piętrzenia się różnych nachyleń ich połaci i różnych wysokości, stając się malowniczym elementem dzielnicy starego miasta. Stanowią one zawsze piękną bryłę plastyczną, o ile jednak są kryte wyłącznie dachówką holenderską, czy karpówką.

Trzecią bolączką ulic staromiejskich — to przyziemia domów. Przerabiane wielokrotnie z powodów czysto użytkowych i praktycznych wykorzystania pomieszczenia dla celów handlowych zagubiły pierwotny układ archi-



Portal przy ul. Świętojańskiej Nr 29.



Portal przy ul. Świętojańskiej Nr 5.

tektury. Dziś tak często spotykane poszerzone i unowocześnione otwory sklepowe są tak rażąco obce charakterowi zabytku, że przy najbliższej okazji powinny być zmienione.

Nie łatwym, przyznaję, jest zaprojektowanie takiej przeróbki. Trzeba mieć doskonałe wyczucie istoty zabytku, by skomponować rzecz prostą, nie powtarzającą starych form XVII, czy XVIII wieku, a odpowiadającą całości. Nie każdy też architekt zadaniu temu sprostać może.



Portal przy ul. Świętojańskiej Nr 3.

Z zagadnieniem przeróbki, czy przywrócenia należytych form otworom sklepowym — wiąże się też i zmiana charakteru przedsięwzięcia, mieszczących się w parterze, często całkiem nie licujących z powagą ulicy o założeniu zabytkowym.

Wreszcie portale. Portal, to akcent domu, a zarazem jego metryka. Nierestaurowane wcale, bądź restaurowane nieumiejętnie, malowane farbą, olejną czy wprost skuwane zatarły one wszystko, co jest w nich najcenniejszego, materiał, forma, patyna, a nawet często kronikę domu. To też w rozumieniu jak ważną arterię stanowi ulica Świętojańska, która spełnia rolę ulicy reprezentacyjnej Starej Warszawy w roku zeszłym przeprowadzono z inicjatywy urzędu konserwatorskiego restaurację niemal wszystkich portali na tej ulicy. Być może mało kto zwracał dotąd na nie uwagi; mijając tylokrotnie poszczególne domy nie wzbudzały one w nim należytego zainteresowania. Przyczyną tego była bezwątpienia zła ich konserwacja, co utrudniało lub wręcz uniemożliwiało przeprowadzanie jakichkolwiek poszukiwań szczegółów portalu. Dziś są one już wydobyte. Historykowi przybyły daty, miłośnikowi Starego Miasta — wspomnienia. Oto kilka przykładów.

W kamienicy pod nr 3, hip. 26 na zworniku odrestaurowanego portalu, dość na ogół skromnego, widnieje wyraźnie data 1664 oraz gmerk z monogramem D R. Data ta przypomina czasy przemian, jakim cała ta ulica podlegała po pogorzelałach.

Na sąsiedniej o sześciu oknach frontu kamienicy nr 5, hip. 25, po zdjęciu kilku warstw farby, olejnej pokrywającej wielki prostokątny z XVIII w. portal, a raczej odrzwia kamienne, przywrócono na zamalowanym przedtem zworniku napis J. B. G. (EMPTA) 1760 zaś

na kamieniu nadpróżnym po obu stronach tego zwornika datę MDCC/XXVIII. Drobny ten napozór szczegół nie jest bez znaczenia. Ustalił on bowiem, ponad wszelką wątpliwość tak błędnie we wszystkich, nie wyłączając najnowszych przewodników, powtarzane bezkrytycznie daty nabycia domu 1666 czy 1706, zamiast 1760. Druga data 1728 oznacza prawdę podobnie rok wystawienia istniejącej dziś elewacji.

Warto dodać, że fasada tej kamienicy obecnie jest w remoncie, przy czym odkryto po zdjęciu kamienne profile obramień. Zamierzone jest też przywrócenie pełnych otworów sklepowych, obecnie zniekształconych.

Dom ten miał należeć do Gizów i tu według tradycji przyszła na świat Barbara Gizanka.

W domu nr 11, hip. 22, odczyszczono mały portalik wydobywając spod farby datę 1704. Był on dawniej wejściem do sieni, dziś zamienionej na sklep.

Odreštaurowano skromny portal pod nr 17, hip. 18.

Odsłonięto szczegóły niewidocznego przedtem znaku mieszczańskiego na domu nr 19, hip. 17. Wyszły nienotowane dotąd szczegóły, jak litery T I R W w narożnikach traczy, pośrodku której znajduje się właściwy gmerk. Ponad tarczą serce przebite strzałą.

Odczyszczono portal domu nr 23, hip. 15.

Na kartuszu portalu w wąziutkiej dwuokiennej kamienicy nr 25, hip. 14 odsłonił się po przeprowadzonej restauracji zatarty ślad herbu, czy gmerku; ponad nim — monogram; z lewej strony u dołu litera A, z prawej w układzie pionowym od góry litery W C W; u dołu tarczy słabo widoczne cyfry daty.

Na skromnym portalu sąsiedniej kamienicy nr 27, hip. 13 na blokach kamienia u podstawy z obu stron obramienia portalu wydobyta została plastycznie ukształtowana powierzchnia kamieni, w kształcie diamentów.

Najcenniejszym jednak odkryciem było odsłonięcie spod drewnianego obudowania imitującego portal — właściwego portalu kamienicznego prowadzącego niegdyś do sieni w kamienicy zw. Busserowską, oznaczonej nr 29, hip. 12. Jednocześnie usunięto farbę olejną z kartusza marmurowego nad tym portalem. Czytelny już dziś napis łaciński wskazuje, że zbudowana została ta kamienica w 1629 r. przez rajcę warszawskiego Łukasza Bussera na użytek jego i potomnych. Obecnie kamienica ta razem z sąsiednią „Pod okrętem” stanowi jedną całość.

Odreštaurowano dobry portal narożnej kamienicy nr 14, hip. 8.

Nie chcę nużyć czytelnika innymi przykładami. Wystarczą i te. Nie na tym wszakże koniec.

Z kamienic staromiejskich z biegiem czasu usuwano wszystko, co sprawiało trudność do racjonalnej konserwacji, czy włożenia odrobiny wysiłku do zachowania dla potomności. Wiemy, na przykład, że na kamienicy złączonej z dwóch w jedną — nr 7/9, hip. 23/24 istniał kiedyś napis na tablicy kamiennej głoszący po łacinie, że wystawiona została



Ul. Świętojańska ku placu Zamkowemu.

w 1681 r. przez Gerarda Witthoffa, zaczynający się od słów „Supremo divini honoris Publico...” itd.

Na domu nr 21, hip. 16 prócz tablicy istniejącej, która świadczy o jej libertacji, były jeszcze dwa napisy łacińskie wyrzeźbione pod trzecim i drugim piętrem, jak np. (podaję za Sobieszczańskim) „Regia Sarmatiae meliores construet Aedes si caveant cives hospitibus officio”. Tekst drugi też jest nieznan.

Na wysokości trzeciego piętra kamienica nr 29, hip. 12 posiadała dwie wnęki, jedna z postacią biskupa z pastorałem, druga kobiety z lwem. Posągi te usunięte zostały w 1895 r. Po niszach trudno jest odnaleźć ślad — bez zbijania tynków.

Sądzę, że realizując konsekwentnie rozpoczętą pracę odbudowy „Warszawy na emeryturze” wartoby się było zastanowić, czyby nie przywrócić, choć częściowo, zaginionych sentencji na fasadach, a może i usuniętych figur. Ożywiłyby one płaszczyznę domu i kontynuowałyby tradycję.

Wspominam wreszcie o konieczności otaczania opieką cennych, choć często już bardzo zniszczonych, zabytków ślusarszczyzny, jak kraty, przezierniki, kołatki, obicia drzwi i okiennice. Notuję sprawę oświetlania i nawierzchni ulicy.

Ale nie robimy od razu wszystkiego.

ZAKŁAD BLACHARSKO-ORNAMENTACYJNY JULIANA TRZECIECKIEGO

WARSZAWA

mieszkanie Bryłowska 14, zakład Bryłowska 14
Telefon 5-18-61. — P. K. O. 25.865.

Krycie dachów. wież, repara-
cja i konserwacja oraz
wszelkie roboty w zakres
blacharstwa wchodzące.
Krycie papa i dachówka.

WYTWÓRNIĄ WYROBÓW ŚLUSARSKICH J. SORGACZ i Syn

WARSZAWA

KROCHMALNA 85. TEL. 9-50-96.

FABRYCZNE SKŁADY PAPIERU PNIOWIEC

SPÓŁKA

Z OGR. ODP.

UL. DŁUGA Nr 48

WARSZAWA

TEL.: 11.82-53, 11.82-54

ODDZIAŁ:

POZNAŃ, Wszystkich Św. 4a. Tel. 33-89 i 38-89

Adres telegr.: PNIOWIEC—WARSZAWA

EKSPOZYTURY:

BYDGOSZCZ, Dworcowa 9. Tel. 37-33
GDYNIA, Mściwoja 9. Tel. 17-86
KATOWICE, Mickiewicza 16. Tel. 332-87
ŁÓDŹ, Śródmiejska 28. Tel. 223-30
SOSNOWIEC, Czysła 9. Tel. 10-64

Sprzedaż komisowa papieru fabryki

LIGNOZA S. A. KATOWICE

Papiernia w Pniowcu Górny Śląsk

Dawny Salon Warszawy (Ogród Saski)

„W Warszawie równie jak w wielu innych miastach zbywa na dostatecznych publicznych przechadzkach, a właściwie są tylko dwie, które na to imię zasługują. Pierwszą a główną jest Ogród Saski, położony na Krakowskim Przedmieściu. Ogród ten jest tym dla mieszkańców Warszawy, czym Tuilleries dla Paryżan. Składa się on z długiej i szerokiej kwiatowy, otoczonej lipami i kasztanami, z wysokich szpalerów i brzydkich posągów. W końcu jego znajduje się otwarta budowla ozdobiona kolumnami i pilastrami korynckimi, którą poprzedni królowie sascy przeznaczili na wodozbiór do zamierzonych fontann; obecnie budowla ta jako altana służy na miejsce sprzedaży różnych chłodziaków. Za nią znajdują się jeszcze cieniste przechadzki, a z dwóch stron kwiatowy sady i warzywne ogrody z kilkoma mało znaczącymi budynkami. Środek tego ogrodu otwarty jest dla wszystkich, podobnie jak przejście przez niego dozwolone jest publiczności. Za króla poprzedzającego, rabaty pełne kwiatów i oranżeria zdobiły ten ogród, dziś miejsce ich zajmują trawniki, a aleje i szpalery są utrzymywane zaledwie w dobrym stanie; dwór bowiem nie łoży na to tak dalece, że wyżej wspomniana altana w dość dobrym zbudowana smaku, bliską jest zniszczenia“.

Tymi słowami opisywał Ogród Saski w roku 1784 jeden z najwybitniejszych architektów warszawskich czasów Stanisława Augusta — Szymon Bogumił Zug, sam wybitny planista ogrodów. Zug był jednak przedstawicielem innego gustu w sztuce zakładania ogrodów, innego stylu, niż ten, w jakim Ogród Saski założony został i oddany do publicznego użytku w roku 1727 w ostatnich latach panowania Augusta Mocnego. Wówczas to, w związku z budową Pałacu Saskiego, król August wykupił później pod ogród Pałacu Saskiego zajęty. Na tym terenie przed rokiem 1714 znajdowały się ulice, pałace i domki. Najbardziej znane i najokazalsze były tu pałace Tarłów, później Lanckorońskich, Andrzeja Leszczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, i Denhoffów, później Jerzego Lubomirskiego. Król August mocny pałace te wykupił, zniósł i ogród w gęście francuskim utworzył.

Czymże jest ten gust francuski w sztuce zakładania ogrodów?

W pierwszej połowie wieku siedemnastego w ozdobnym ogrodnictwie Francji zjawiają się nowe prądy, które rozszerzają, wzbogacają i pogłębiają kompozycję ogrodów renesansowych. Zwiększa się przestrzeń zajęta pod ogród, urozmaica się monotonia założeń, występują zaczynają w planie linie ukośne, okrągłe i krzywe. Ale dopiero znakomity francuski architekt planista, Le Notre, pierwszy podporządkował szczegóły ogrodu ogólnemu wyrazowi, wyzyskał kontrasty, pierwszy nauczył stwarzać w ogrodzie perspektywę. Nie tylko pałace czasów Ludwika XIV, ale i powstające przy nich takie właśnie ogrody stwarzały tło dla bogatego, bujnego, barwnego życia dworskiego tej epoki.

A właśnie Ludwik XIV był ideałem monarchy dla ambitnego kurfirsta, elektora saskiego i króla polskiego Augusta Mocnego. Wystarczy

dziś jeszcze rzucić okiem na pełne uroku Drezno, żeby ten ideał ambitnego Wettina odnaleźć nie tylko w pałacach, ale i w ogrodach z jego czasów. W Warszawie wyrazem tych dążeń Augusta Mocnego miał być pałac i Ogród Saski.

W ciągu długich później lat niewoli, w Warszawie połowy i końca dziewiętnastego wieku, Warszawy, której życie koncentrowało się wokół Placu Teatralnego, Senatorskiej, Długiej. Nowego Świata, gdzie dzisiejszy Dworzec Główny, a wówczas Warszawsko-Wiedeński leżał, w nowej dzielnicy mającej się dopiero rozwijać, położony w sercu miasta Ogród Saski stał się prosto niezbędnym elementem życia towarzyskiego. Rano w alejach ogrodu lub też na wodach przy wzniesionym w roku 1847 przez Henryka Marconiego Instytucie Wód Mineralnych, upodobnionym do termów Dioklecjana, gromadziła się cała Warszawa, znająca się wzajemnie, plotkująca, flirtująca i cała Warszawa literacka i artystyczna. Popularna wówczas antraktowa orkiestra Teatru Rozmaitości pod batutą kompozytora mazurów, oberków i walców, Lewandowskiego, koncertowała tu codziennie.

W pełnych wdzięku i uroku zeszlówiecznej mody, rysunkach Kostrzewskiego, ukazuje się nam ta towarzyska Warszawa na tle drzew i posągów Ogrodu Saskiego.

*

W naszych czasach, w nowej Wielkiej Warszawie, ogród Saski do dawnej swej roli w pełni nie powróci. Staje się w życiu dzisiejszego miasta nie ogrodem zamkniętym, izolowanym niejako od ruchu miejskiego, lecz przestrzenią zadrzewioną, której nie można odbierać znaczenia komunikacyjnego, jeśli nie chce się kłócić śródmieścia Warszawy. Ogród Saski przecięty dziś jest ulicą, która będzie musiała być w niedalekim czasie przedłużona. Jako dziwny anachronizm pozostają jeszcze wysokie ogrodzenia i zamykane bramy. Ale i one będą musiały chyba zniknąć niedługo. Ogród Saski żyje i rozwija się życiem miasta. Wieś XIX wprowadził weń duże zmiany. Poza wspomnianymi przekształceniami ogrodowymi przybyły wówczas budowle: Instytut Wód Mineralnych i wodozbiór w formach klasycznej świątyni. Za Żelazną Bramą rozlokował się Gościnny Dwór i hale targowe, załamujące linię osi założenia Saskiego, którym Główna Aleja Ogrodu saskiego tak zasadniczą odgrywać miała rolę.

Nasze czasy wprowadziły nową ulicę, baseny kąpielowe dla dzieci. Ale w tych wszystkich przekształceniach istnieje niewątpliwie możność odrodzenia pewnych tradycji Ogrodu Saskiego, dostosowując je do potrzeb dzisiejszego życia. Zamierzone odnowienia budynków dawnego Instytutu Wód Mineralnych pozwoli na wyzyskanie zaniedbanej dziś części ogrodu: położonej przed kolumnadą tego budynku i użytkowanie jej na miejsce koncertów w porze letniej, przywracając i dobrą tradycję takich koncertów na tym właśnie miejscu.

Mówiąc o Ogródzie Saskim nie sposób nie wrócić myślą do chwil, które w naszych czasach wiązały ten ogród z najdroższymi dla każdego wspomnieniami. Granitowa płyta po-

łożona z odpowiednim napisem przy Główniej Alei w roku ubiegłym z inicjatywy i staraniem Zarządu Stolicy przypomina dzień 22 maja 1921 roku, gdy nawiązując do tradycji trzydziestego roku stolica podejmowała wracające zwycięskie wojska.



Werenda przy cukierni Lourse'a w Ogródku Saskim w drugiej połowie XIX wieku.

Ogród Saski, dawny Salon Warszawy związał się w tym dniu pamiętnym szumem liści dostojnych lip i potężnych kasztanów z uderzeniami serca Warszawy, tej Warszawy, która hasło do walki o wolność i Ojczyznę zawsze rzuciła pierwsza.

„Pałac przytykający do ogrodu — czytamy w opisie Zuga — jest obszerną budowlą, chociaż mało pod względem sztuki się odznacza. Dzieciniec, który jest przed nim liczyć się może do najpiękniejszych i najobszerniejszych w Warszawie. W ogóle położenie tego miejsca jest piękne i pod każdym względem ma wszelkie zalety mieszkania królewskiego“.

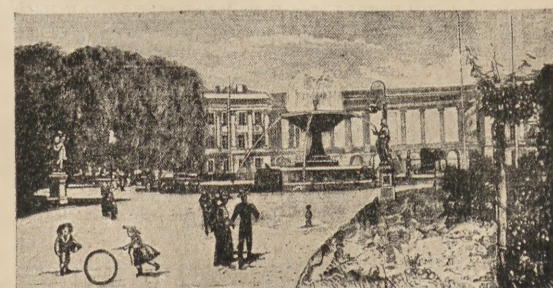
Ogród Saski tak samo jak Tuilleries staje się ogrodem dostępnym dla publiczności, jest później przez długie lata jedną z dwóch, obok ogrodu Krasińskich przy pałacu Rzeczypospolitej, przechadzek publicznych, jak to się dawniej w Warszawie mówiło. Już wówczas Ogród Saski można nazwać Salonem Warszawy. Jest on jakby największą salą bankietową, miejscem zabaw publicznych w uroczyste obchodzone dni imienin królewskich, uświetniane efektownymi popisami sztuki pirotechnicznej: iluminacją i fajerwerkami, puszczanymi zazwyczaj z wierzchołka altany stojącej w zakończeniu dalekiej perspektywy głównej alei ogrodowej w pobliżu późniejszej Żelaznej Bramy.

Późniejsze czasy, po śmierci Augusta III, przyniosły Ogródowi Saskiemu lata pewnego zaniedbania i opuszczenia. Ogród Saski bowiem wraz z pałacem pozostał prywatną własnością królów saskich, chociaż nie był już miejscem królewskiej rezydencji. Rozluźniły się więzy łączące w latach wspólnych monarchów Drezno z Warszawą, a utrzymanie pałacu i ogrodu, które straciły swych dotychczasowych mieszkańców połączone było ze znacznymi kosztami, które dwór saski niechętnie ponosił. Ciężkie dla Warszawy czasy brutalnej okupacji pruskiej, ciężkimi były czasami i dla ogrodu Saskiego. Pałac, który ucierpiał mocno w czasie walk ulicznych z Moskalami w dniach kwietniowych insurekcji ludu warszawskiego w roku 1794, nie podźwignął się już z ruiny i dopiero przed stu laty niemal z gruntu na nowo pobudowany otrzymał dzisiejszy kształt pałacu Sztabu Głównego, ogród zaś posunął się bardzo w opuszczeniu. Rozebrano ową altanę, posągi dekoracyjne niszczały bez należytej opieki.

Dopiero początek wieku dziewiętnastego, a ściślej mówiąc, lata Królestwa kongresowego,



Ogród Saski od ul. Niecałej w drugiej połowie XIX wieku.



Wodotrysk w Ogródku Saskim w drugiej poł. XIX w.

tak płodne dla rozwoju Warszawy, przyniosły renesans Ogrodu Saskiego w życiu stolicy. Zbienił się wówczas w pewnym stopniu wygląd Ogrodu, który uległ poszerzeniu o części ogrodów owocowego i warzywnego oraz szklarni, które zajmowały wzdłuż ulicy Wierzbowej i Królewskiej. Te części ogrodu gospodarze oczyścił puławski Savage i urządził w

guście angielskim, w guście naturalnego, jak się niekiedy mówi, dzikiego parku.

W okresie Królestwa Kongresowego ogród Saski był ulubionym miejscem przechadzek i spotkań. Był znów letnim salonem Warszawy, a z dziejami powstania listopadowego związał się pamiętą uroczystością obiadu żołnierskiego, którym miasto Warszawa podejmowała

w dniu 5 czerwca 1831 roku oddziały siły Zbrojnej Narodowej po bitwie ostrołęckiej. Stuletnie już wówczas lipy i kasztany przechowały zapewne w szumie swych liści pełne gorącego zapachu okrzyki mieszkańców stolicy, wyrażające gotowość walki i powszechne wołanie zgromadzonego wojska: „niech tylko wódz nas prowadzi!“.

A. W.

Irena Schultz

LUDZIE Z PARKU

(Z rysunkami Autorki)

Każda godzina w parku ma inną „klientelę“. O tym, że zbliża się 7-ma powie nam zgarbiona postać grajka o znużonej twarzy i czerwieniałych oczach. Błada fortancerka z lichą walizką. Niepewny w ruchach, mocno zapóźniony a niezbyt odważny mąż. Z tych, co to wstąpili „na jednego“.

Koło 9-ej mamusie i nianie wtaczają wózki. Robi się odrazu gwarno. Ogród staje się terenem ożywionych rozmów towarzyskich. Poruszane są wówczas wszystkie problemy. Poruszając od pocztowca, ostatniego narzeczonego panny Jadzi, „od tej rudej z pod piątego“, na zagadnieniach politycznych kończąc. Nianie gadają do nieprzytomności, a w tym czasie malcy buszują na ścieżkach, stając się utrapieniem rozpolitykowanych, przesadzających o losach Europy emerytów i śpieszących przechodniów.

Dzieci wyglądają niezmiennie malowniczo. Zupełnie jak kwiaty, które uprzykrzywszy sobie pobyt w zielonej ramce trawnika — rozpoczęły kolorowy spacer po ścieżkach.

Od 2-ej do 5-ej w parkach znajdują się już tylko wytrwałe nianie i mamusie. No i ludzie przypadkowi. „Stała klientela“ zjawia się dopiero o 7-ej, 8-ej i siedzi już prawie zawsze do zamknięcia. W tej porze, oprócz przechadzek zakochanych odbywają się również i „mażeńskie“ spacerki.

Prawdę powiedziawszy, „klimat“ w parkach nie jest zbyt sprzyjający dla zakochanych. W tym samym bowiem czasie, jak cień za szczęściem suną „moralisci“. Są to przeważnie już starsze, mocno zgryźliwe panie. Chodzą zazwyczaj we dwie. Upatrzywszy sobie jakąś ofiarę, najczęściej „ich dwoje“, siadają obok jakby całkiem niewinnie. I obserwują. Żywsze słowo, spojrzenie, gest, — nic nie uchodzi ich bacznej uwagi. To też co chwila z ciemności dochodzi wymowne syczenie lub głośnie nagana „powojennego zgorszenia“. Rzecz dziwna, że mimo „bagna“, na jakie „kobieta przyzwoiła jest dziś wszędzie narażona“ — trwają.

Przychodzi zwykle koło 7-ej. Bo o tej porze przeważnie zamykają „Arlekina“. Siada zawsze na tej samej ławce. Akurat naprzeciwko fontanny. Czarny już podniszczony kostium. Zgrabne bardzo nogi. Żeby nie te nogi — i ona i matka dawnoby z głodu umarły. Ceratowa walizeczka napróżno podszywa się pod skórę.

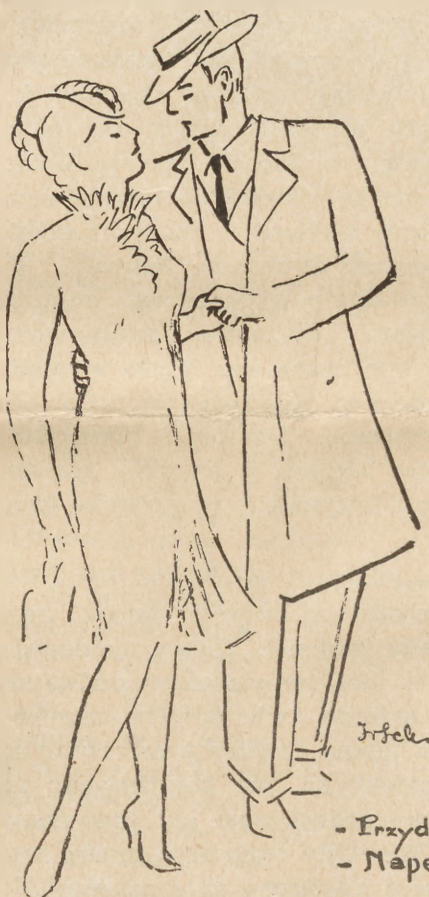


Panna Zosia „do wrzytkiego“

Tancerka. Dziś jest smutniejsza niż zwykle. Bo wczoraj też go nie było. A zaczęło się tak pięknie. Zupełnie jak w tej nowej piosence:

„Przyszedł raz do tawerny
nieznany ktoś, zdaleka.
A serce mnie szepnęło:
to ten, którego czekam“.

Tak że dwa tygodnie będzie jak przyszedł do „Arlekina“. „Stary“ wziął go za cudzoziemca i posłał do stolika Hankę. Wysoki pan posiedział może godzinę. Mówił mało. I o zupełnie zwykłych rzeczach. Ale tak pięknie, inaczej jak wszyscy. Zaraz, jak to on powiedział. Hanka przymyka oczy.



— Przyszedł jutro?
— Naprawdę.

— Za Boga sam nie pójde, rozumiesz, Maniuś.

— A ja ci mówię, czym później tym gorzej.

Na ławce dwaj „zagazowani“ panowie toczą głośnie rozmowę.

— No a jak wyglądam, tylko rozumiesz, mów prawdę.

Maniuś przygląda się przez chwilę. Ale widocznie oględziny nie dają korzystnych dla towarzysza wyników, bo zaczyna niepewnym głosem:

— No wiesz...

— Co? — podejrzliwie przerywa drugi.

— Przyczeseś cię trochę, to może ujdzie.

Tu „opiekun“ szuka czegoś długo a mozolnie po kieszeniach. Wreszcie wyciąga wieczne pióro i usiłuje zrobić „przedziałek“.

— Ale też masz włosy, niech cię!

...On jeszcze niczego, owszem, osobiście nic nie mogę powiedzieć, ale ona piekielnica.

— Może o pannę Manię zazdrośna?

— E, co to — to nie. Tylko jak z tego swego biura przyłizie, to nic tylko mnie pogania: „Wypierzesz mi rękawiczki“, a to znów „sceruj pończochy“. Bez końca. Nieraz to już cała z nerw wychodzę. Wczoraj nie wytrzymałam i mówię: „Zaznaczam, że godziłam się do dziecka, a nie do żadnych kaprysów“. A dzieciak, cały w niego — taki cichy, spokojny.

Tu panna Mania ogląda się na wózek.

Dzieciak, „cały w niego“ śpi bez troski. Tylko co jakiś czas poruszają się tłuste rączki na niebieskiej, pikowej kołderce. Pewnie coś mu się śni. A może szuka przez sen kolorowej piłki. Miał ją w rączce. Ale spadła i czerwienieje w trawie.

— Żeby tak bardzo mi się podobał nie powiem. Ale zawsze lepiej to, jak nic. Jurek, nie odchodzi! Że też pięciu minut spokojnie porozmawiać nie można, — mówi od 2-ch godzin bez przerwy rajcująca niania.

— Ja też wie pani, miałam urzędnika. Był za woźnego w ministerstwie. Coś z rok myśmy chodzili.

— Takem się, mówię pani popłakała, że nie wiem. Bardzo dobry obraz.

Dwa zielone mundury. Pośrodku jaśnieje plama. To nowe palto panny Zosi „do wszystkiego“. Złatały się wczoraj z siostrą za tym paltem. Schodziły całe miasto. Oplaciło się. Lekkie, modne. Ale teraz siedzi w nim, jak w ogniu. Chodziło ich dwóch. Przeszli coś ze dwa razy. Jeden mały, taki okrągły w sobie, a drugi wysoki. Aż w końcu siedli. Z dwóch stron. I co i raz to zagadują. A Zosia nic. Przecież tak odrazu nie można. Jeszcze pomyśleliby, że „taka“.

— Panienska, coś nie mówiąca, może z prowincji? — prowokuje wysoki.

Zosia nie wytrzymuje.

— Nie z żadnej prowincji, w Warszawie od dziecka urodzona jestem — oburza się.

Ten wysoki, to nawet niczego sobie — myśli.

Czekolada. Irysy.

— Pst.

Chłopiec staje przed ławką.

— Dawaj te duże, panie lubię jasną — rzuca nonszalancko wytworny młodzieniec w pasiastym garniturze.

— Mały chodź tu — woła sąsiednia ławka.

„Pani“ odwija z nabożeństwem czekoladę. Za chwilę ciemność rozbrzmiewa zgodnym młaskaniem i chrupaniem. Widocznie „jasna“ jest z orzechami.



Tancerka z „Arlekina“

— Może państwo się trochę posuną? — przed ławką staje para. Siadają.

— Nie mogę sobie przypomnieć, czy ja nie zapomniałam zamknąć lufcika w kuchni — ten kot znów nam szkody narobi — martwi się na głos pani.

Amatorzy czekolady wstają. Małżeństwo sadowi się szerzej, wygodniej. Co chwila padają ważne zdania w rodzaju: „Myślę, że cielęciny wystarczy, wzięłam 3 kg“, a potem doniosło: „Galaretę ułożyłam na tych dwóch okrągłych salaterkach“ i wreszcie „Jak myślisz kawę zaparzę, jak przyjdą“?

— Dobrze — zgadza się mąż. Jest znużony. Dzień w biurze był ciężki.

„Je t'aime trop, pour te parler d'amour“. To takie jasne. Po co mówić, kiedy jesteś ze mną. Trzask zapalki. A, wiem już. Zapalas te-

raz papierosa. To nic, że oczy mam przymknięte. Widzę dokładnie piękno Twojego profilu. Rzeźbi się przedemną, jak drogocenny medalion. W nim, od chwili, kiedy niechcący, przysgodnie wszedłeś w moje życie, zamknęłam cały świat.

Milczymy. To dobrze, kochany. Bo milczą tylko ci, których serca mają sobie wiele do powiedzenia. Cieszę się, że odpoczywasz przy mnie. Dlatego wybrałam tę ławkę, bo nie dochodzi tutaj gwar miasta.

Poruszyłeś się. Może coś powiesz. Czy wiesz, że słucham Twojego głosu tak jak się słucha muzyki. To co powiesz będzie jak zwykle proste, głębokie, mądre. Czasem wprost boję się Twojej logiki. Druzgocze. Myślę, że może kiedyś zabić czyjeś serce. Może moje?

Czuję Twoje ramię przy swoim. Jesteś teraz bardzo blisko. Tak blisko, że mogłabym oprzeć na nim głowę.

Nie zrobię tego. Wiem, jak nie lubisz, aby ludzie widzieli to, co jest tylko nasze. Prawda?

Chcesz wziąć moją rękę? Zgadłeś. Odczułeś. Lubie, kiedy położysz dłoń na moim rękę.

— A możebyśmy tak gdzie poszli? — rozlega się w ciemności gruby, zdyszany głos.

Dziewczyna na ławce przytomnieje. Zrywa się. Mężczyzna robi kilka kroków naprzód. Ona nie przestaje biec. Zatrzymał się. Siadł spowrotem. Dziwne. Siadła, jakby umyślnie na ustroju. To i przysiadł się człowiek. Ona nic. Dopiero, jak się odezwał — zwała.

— Ależ ty się wleciesz. Jeszcze bramę przez ciebie zamkną — podgania zasapanego jego mością tęga pani o energicznych ruchach.

Mija ich jakaś parka. Słychać szept.

— Będziesz jutro?

— Napewno.

Antoni Wieczorkiewicz

Ogrody warszawskie, których niema

Miasta średniowieczne, te które dotrwały do naszych czasów w postaci dzielnic staromiejskich, nie przekazały nam żadnych niemal śladów, które świadczyć by mogły o istnieniu w nich ongi ogrodów czy większych skupień zieleni. Było to wynikiem specyficznych warunków rozwoju miasta średniowiecznego. Miasto wówczas powstawało na terenie ściśle ograniczonym linią murów obronnych, które wznoszono po założeniu miasta. Przy wytyczaniu terenu nie przewidywano często późniejszych możliwości rozwojowych. Gdy liczba mieszkańców wzrastała, a wzrastała niekiedy bardzo szybko, wykorzystywano przede wszystkim każdy wolny skrawek w obrębie murów, przeznaczając go pod zabudowę. Padały więc ofiarą przede wszystkim ogrody, a raczej ze względu na ogólną szczupłość terenu miasta — ogródki, które były przy domach, następnie zaś cmentarze, pierwotnie przy mniej gęstej zabudowie zakładane w obrębie murów. Przestrzeń zakreślona murami wypełniała się coraz zwarciej, rozpoczynała się speculacja budowlana. Parcela obudowywała się ze wszystkich stron, wolna przestrzeń ciasnego podwórka wystarczała zaledwie na potrzeby wewnętrznej komunikacji. Budować się poza murami nie było bezpiecznie, traciło się bowiem wówczas bezpieczeństwo codzienne, jakie zapewniała mieszkańcom straż miejska, a w razie napadu nieprzyjaciela, domostwa leżące poza bramami miejskimi wydane były bezapelacyjnie na zniszczenie i na łup oblegających. Można było poza murami umieścić szpital — przytułek dla starców i kalek, bo wówczas napad nieprzyjaciela niszczącego to wszystko co leżało poza murami przynosił na przyszłość ulgę

kasie miejskiej w uciążliwych wydatkach na opiekę społeczną, ale przecież zamożny mieszczanin nie miał zamiaru wystawiać siebie i swą rodzinę oraz dobytek na hazard tak częstej wówczas wojny. Zresztą dla rzemieślnika czy kupca związanego interesami swego przedsiębiorstwa z miastem, rozdzielenie miejsca mieszkania z miejscem warsztatu pracy nie było wówczas możliwe. Łatwiej już było poza mury przenieść ogród, na który w samym mieście zabrakło już miejsca. Zniszczenie ogrodu nie było stratą tak wielką, a na letnią wilegiaturę wystarczyć mogły zupełnie byle jak budowane drewniane budynki. Te ogrody mieszczańskie powstające poza murami, nie były ogrodami ozdobnymi, miały użytkowe gospodarskie znaczenie. Były to osady i ogrody warzywne dostarczające produkty do spiżarni w mieście. Ogródki o charakterze wypoczynkowym zachowały się przy klasztorach w mieście i, oczywiście, przy zamku książęcym.

Ogródków zamkowych mogło być kilka. Nie znamy jeśli chodzi o książęcy zamek warszawski rozkładu budowli, jakie znajdowały się jego obrębem. Możemy jednak na podstawie dość licznych analogii twierdzić, że napewno każdy skrawek terenu między poszczególnymi budowlami zamkowymi, nie użytkowany na cele gospodarczo podwórzowe był wyczyszczony pod ogródki. Nie były one rzecz prosta rozległe, nie zdobiły ich liczne duże drzewa. Ale cienia w nich było trochę napewno i trochę miejsca nietyle do spaceru ile do spokojnego wypoczynku. Znajdowały się w nich i kwietne rabaty i nieodzowne grządki z ziołami leczniczymi do domowej apteki.

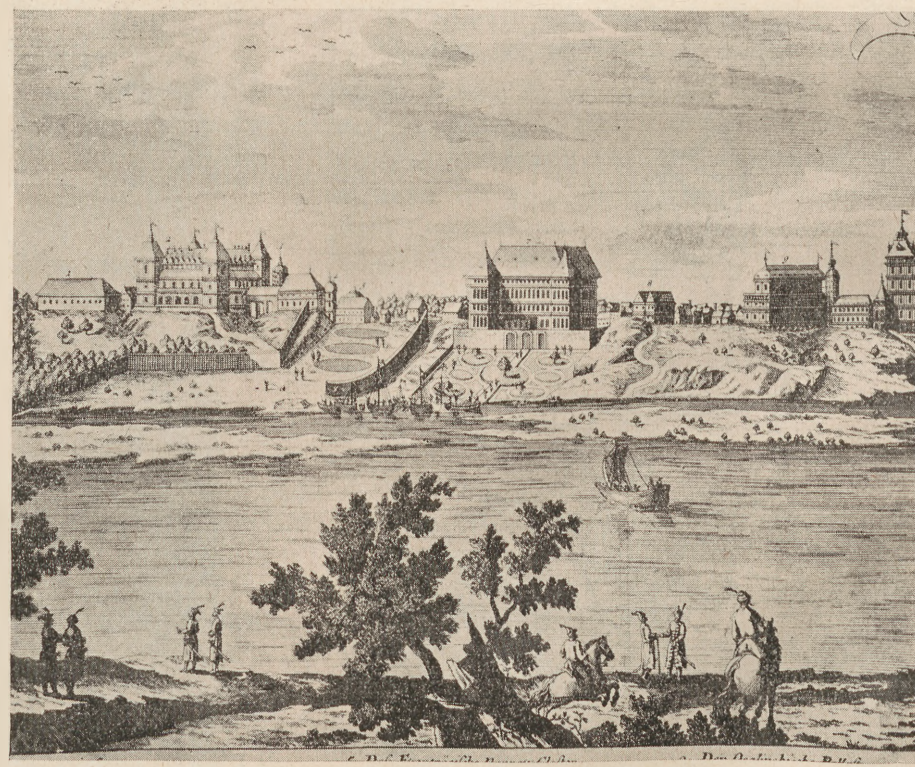
Z tych wszystkich ogródków i ogrodów średniowiecznej Warszawy śladu dziś nie ma nie tylko w jakichś pozostałościach po nich, ale nawet we wspomnieniach. Pochłonięto je miasto, zacierając wszelkie po nich pozostałości.

Nie można tutaj pominąć, mówiąc o tym okresie, zamku książąt Mazowieckich w Ujazdowie, jako terenu położonego dziś w granicach Warszawy. W owych wczesnych czasach Warszawy Zamek Ujazdowski położony gdzieś w pobliżu dzisiejszego Belwederu, znajdował się w znacznej odległości od miasta, strzegąc przeprawy przez Wisłę oraz kontrolując wznoszący się w tym miejscu w górę odwieczny trakt krakowski. Zamek Ujazdowski otoczony lasem porastającym wysoki brzeg Wisły posiadał zapewne ogród zewnętrzny i jako zamek później o charakterze myśliwskim posiadał również zwierzyńiec, istniejący na tym terenie w czasach Wazów przy nowym pałacu Ujazdowskim w dużej skali.

Dopiero jednak wylanie się miasta poza obręb murów w końcu XVI i w początkach XVII wieku pozwoliło na powstanie szeregu wspaniałych ogrodów przy rezydencjach królewskich i magnackich położonych przeważnie wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Zwłaszcza wysoki brzeg Wisły stwarzał wielkie możliwości przy zakładaniu ogrodów ozdobnych. Opisy tych ogrodów znajdujemy w nieocenionym źródle do poznania wyglądu Warszawy połowy XVII wieku, w „Gościńcu“ czyli opisanie Warszawy w roku 1648 przez Adama Jarzębskiego muzyka i budowniczego króla Władysława IV. Do rzędu najwspanialszych należały ogrody pałacu Kazanowskiego, marszałka nadwórnego i przyjaciela królewskiego,



Ogród Zamkowy w g. Dahlberga (1656).



Pałac Kazimierzowski z ogrodem p.g. Dahlberga: widok łączy się również z artykułem T. Sawickiego z numeru poprzedniego.

przy Krakowskim Przedmieściu na rogu dzisiejszej Bernardyńskiej, następnie Kazimierzowski (Dzisiejszy Uniwersytet) oraz nowego Zamku Ujazdowskiego wzniesionego na terenie wsi Ujazdowa przez Zygmunta III. Oczywiście ogrodów było więcej. Te jednak, zwłaszcza dwa pierwsze były niewątpliwie najwspanialsze i największym nakładem starań i kosztów zakładane.

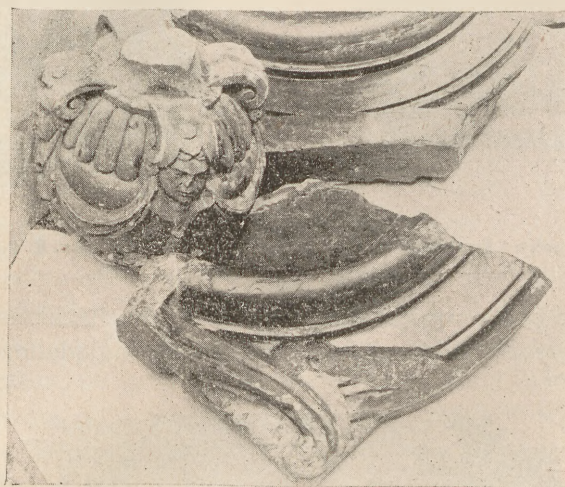
Już samo ukształtowanie terenu spadającego do Wisły, odpowiadało gustowi ówczesnemu do włoskich ogrodów tarasowych, które z czasów renesansu ze szczególnym zamiłowaniem przejęte zostały przez czasy baroku. Ogród ten zamknięty w tarasowych kondygnacjach, nie tak rozległy jak przy pałacu Kazimierzowskim, bardzo architektoniczny i bardziej sztuczny, słynął również z tego że marszałek Kazanowski trzymał w nim w klatkach cudaczne zamorskie zwierzęta i ptaki: małpy i papugi.

Opis wierszowany drugiego, do pałacu Kazimierzowskiego należącego ogrodu warto przytoczyć za Jarzębskim i ze względu na to, że niektóre zdobiące go niegdyś rzeźby różnymi kolejami losu dostały się teraz w posiadanie Muzeum Narodowego.

Jarzębski pisze:

Potym do ogrodu wnide,
A nie wiem jako wynide;
I uczynię kroków kilka,
Aż na dole jakby wilka
Zoczyłem: coś leży w trawie
Nad sadzawką, przy murawie:
Krzyknę, aż tam jelonkowie
Wyskoczą, daniołkowie:
Te żurawie przestraszyły,
Łabćcie w wodę spłoszyły;
Z gęsiami dzikimi wspólnie,
Tam pływały zobopólnie.
Woda z krynic swe strumienie
Prowadzi bystre promienie:
Zrzódo samo niżej leży,
Z niego szumiąc nadół bieży.
Na wierzchu kamień wysoki,
Na cztery granie szeroki;
Stoi na nim Kupidynek
Z strzałami, Wenera synek:
Przed nim jakieś płotki z lazek,
Francuski to wynalazek.
Dalej idę...
Lusthaus dawno nie widziany,
Białą blachą przyodziany.
W bok altany stoi żołdak,
W ręce pika, rapier, kordak.
W gwardziej nogi postawił,
Jedną wzad, drugą wystawił,
W ręce drugiej rapier trzyma,
Jakby rzekł: placu dotrzyma.
Wokoło niego liczba własna,
Naksztalt kompasu, rzecz jasna:
Patrzę na cień, ta zniknęła,
Woda z niego wysiknęła;
A ja w nogi między ganki,
Wbiegłem pod ciemne krużganki,
Z boków drzewkami okryte,
Z wierzchu owocem nakryte.
Obaczę znowu przy płocie
Zołdata (ach, mój kłopotcie!)
Z bronią na marmurze, srogi:
A ja nazad chybię drogi,
Wpadnę na delfinoryba,
Z okrutną paszczką ryba:

A na niej stoi chłopiętko,
Z jakąś pałką niebożatko;
Chcąc ją zabić, zgóry zmierzył,
A piędzą się swą nie zmierzył.
Wszystko to z marmuru rzeczy,
Kunsztownie zrobione, grzeczy.
Zmordowanym chcę odpocząć
I swe siedlisko rozpocząć.
Nie wiem, gdzie się mam obrócić,
Boję się nazad powrócić.
Widzę kwatery rozmaitych
Dostatkiem, a wysmienitych.
Tam są kwiatki, różne ziółka,
Kształtnie sadzone na kółka.
W rogach baszty generalne,
Z drzewek różnych naturalne;
W których od słońca przy chłodzie
Może każdy siedzieć w chłodzie.
Wboku stoi wietrak wzgórze,
Ten kosztuje coś nie mało,
Ze studnią dokazał mało.
Trzeba więcej? usłyszymy
Potym jego kunszt spisujemy,
Dalej idę już na koło,
Chcąc obaczyć ogród wkoło,
Aże znowu cudowisko,



Z wylowionych skarbów Ogrodu Kazimierzowskiego.

Nie wiem, jakie ma przezwisko:
Widzę konia kamiennego
Na słupie, coś wojennego,
Z marmuru dziwna robota,
Niedaleko od niej wrota.
I przyjdę przed ogrodnika.
Tęgo miejsca robotnika;
Aż tam drzewka cudzoziemskie,
Jak u Pana, nie ziemieńskie:
Pomarańcze, figi rosną,
Wyniosłością wzgórze prostą.
Kasztany z rozmarynami:
Tu nie bywały przed nami.
Cytrony, także oliwne,
Kapary, owoce dziwne.
Nuż karcuchy, kauli, rappi,
Salata oliwe trapi.
Rzodkiew, cebul, ogórkones,
Nieźle są miasto cytrones.
Fenoci, seleny, kardy,
Angury, pasternak, gwardy.
Jako tam nasienia wiele,
Znajdziesz tabak, sławne ziele,
Którego pić lub nie mogę,
Ogrodnikowi pomogę.

Ogród pałacu Kazimierzowskiego, oraz ogród pałacu Kazanowskiego tak jak cała Warszawa z wieku XVII, uległy zniszczeniu w czasie najazdu szwedzkiego. Nie wydrżnięły się już z tego zniszczenia wspaniałe ongiś pałace,

odarte ze wszystkiego co się tylko wywieźć dało. Niektóre rzeźby ogrodu Kazimierzowskiego, które załadowane już na łódzie, którymi spławić je miano do Gdańska a stamtąd do Szwecji, na skutek jakiejś awarii jednej z łodzi poszły na dno i zasnęła Wisła przechodziła je w swym piaszczystym i kapryśnym dnie, wydając dopiero po dwustu pięćdziesięciu laty przypadkowym znalazcom warszawskim żwirnikom. Te fragmenty świadczą, że wyszły z pod ręki nie byle jakich majstrów rzeźbiarzy włoskich, że przepych tych pałaców szedł w parze z ambicjami artystycznymi ich właścicieli.

Następny okres rozwoju Warszawy, czasy Jana III nie zanotowały powstania w mieście bardziej głośnych ogrodów. Było ich jednak wiele przy pałacach i dworach, które na jurydykach wznosili na swoje siedziby stołeczne związani z dworem dygnitarze i bogata szlachta, przenosząc do miasta styl życia i obyczaj wiejski. Z czasów saskich dwa ogrody publiczne Krasińskich i królewski przy pałacu Saskim dochowały się w zmienionych nieco oczywiście formach do naszych czasów, o tym jednak, które uległy zniszczeniu nie wiemy prawie nic.

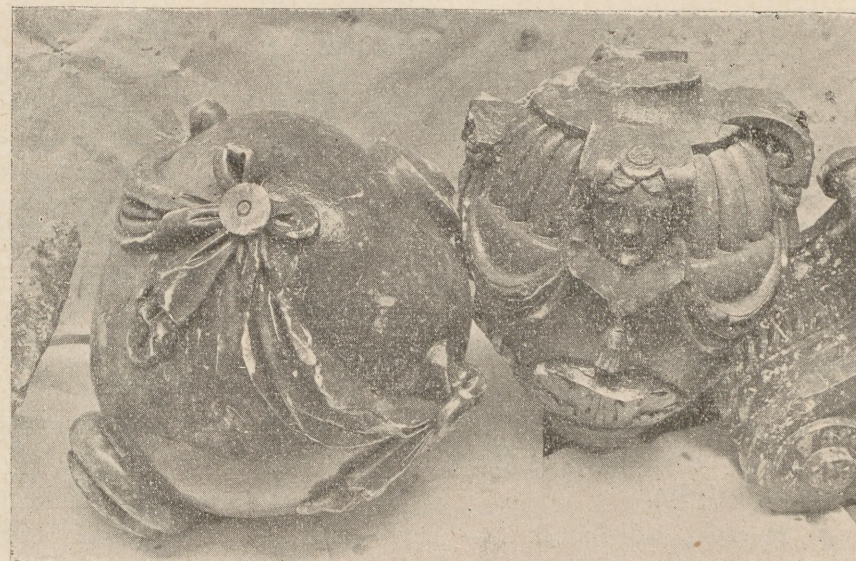
Dopiero znowu w czasach stanisławowskich Warszawa otacza się wieńcem siedzib ogrodowych zakładanych w nowym guście siedzib romantycznych. Powstają, oprócz królewskich Łazienek, liczne ogrodowe siedziby jak Powązki, Książęce i Frascati, Mokotów, ogrody przy willach na Żoliborzu. Wymieniam tu te, których nie ma już zupełnie, albo, które ku wielkiej krzywdzie Warszawy znikają za naszej jeszcze pamięci. Te ogrody były właściwie siedzibami ogrodowymi, letniskami rezydencjami miejscami towarzyskich zabaw, reunii i przyjęć, miejscami romantycznego wytchnienia dla właścicieli, którzy w rozgwarze dworskiego życia, intrygi i polityki, pragnęli oddać część z ich pojęciu właściwą głoszonej modzie zbliżenia do natury, a tracić przy tym nie chcieli nic z wygodnego przyzwyczajenia do komfortu, do zwykłego w ich warunkach życiowego luksusu.

Powstawały więc te siedziby ogrodowe rażące niekiedy sztucznością luksusowo wewnątrz urządzonych chat wiejskich, grot podziemnych, a owiane niejednokrotnie szczerem sentymentem w melancholii umysłowych ruin i w rozrzuconych fragmentach antycznego świata. Ogrody te znamy dobrze z opisów, z rysunków. Jeszcze smutne ich resztki pozostające bądź w zaniedbaniu bądź poszarpane przez wdzierającą się na ich teren chciwość ludzką tak dziś materialnie cenny, świadczą o tym, czym były. Niektóre z nich jak Powązki zmiecione zostały z powierzchni burzą wojny, przed którą ostać się nie mogły wątle i sztucznie pielęgnowane. Niektóre, jak ogrody Żoliborza uległy brutalnej przemocy.

Resztki niektórych mniejszych i mniej znanych ogrodów, których wiele było nie tylko



Delfin.
Z wylowionych skarbów Ogrodu Kazimierzowskiego.



Z wylowionych skarbów Ogrodu Kazimierzowskiego.
(Patrz! artykuł T. Sawickiego w poprzednim numerze).

przy pałacach ale i przy niektórych kamienicach, dawały w wieku XIX schronienie i przytułek popularnym wówczas restauracjom i teatrzykom ogródkowym. Ale przyszedł czas, gdy i one uległy spekulacji budowlanej i wytępione zostały prawie doszczętnie. Za naszej pamięci zdewastowany został dobrze zachowany ogród Frascati, który mógł pozostać zbawionym rezerwuarem powietrza i zieleni.

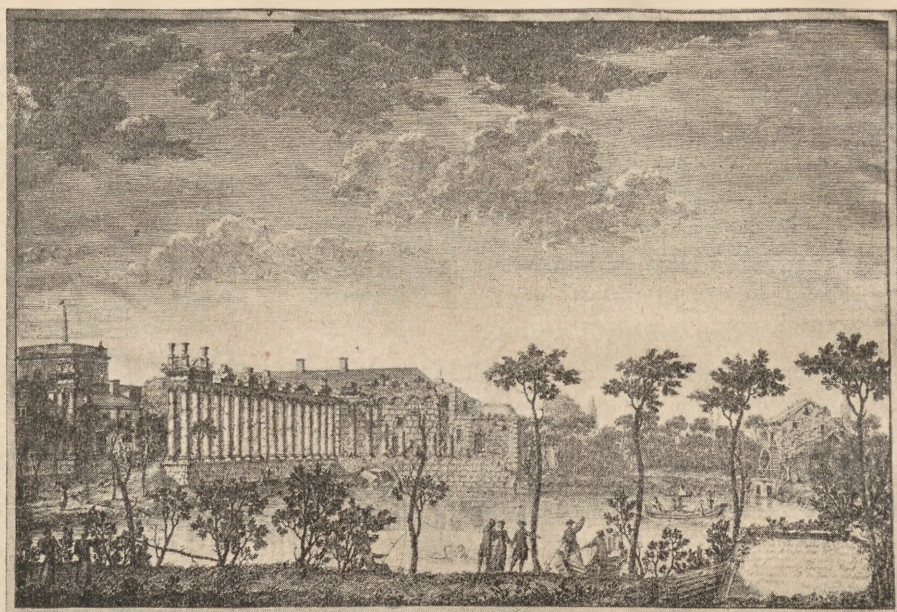
w majestacie kilkusetletnich drzew, przed brutalnością i bezmyślnością ludzką obronić się nie potrafią.

Ozdobne ogrody warszawskie, niema! wszystkie, zakładane były na stokach zbocza, będącego dawnym wysokim brzegiem wiślanym. Owa, ciągnąca się od Królikarni aż do Bielan szkarpa wiślana zawsze pociągała architektów pałacowych i ogrodów. Ona to stwarza

Wisły i zza Wisły. Tę właśnie sylwetę wybierali sobie malarze i rysownicy Warszawy, uważając ją słusznie i za najbardziej malowniczą i za najbardziej charakterystyczną. Lata bezplanowego rozwoju w czasach rządów zaborczych zeszpeciły w barbarzyński sposób to oblicze miasta. Ogrody na szkarpie uległy dewastacji, Powiśle zabudowało się chaotycznie, jako dzielnica fabryk i ponurych kosza-



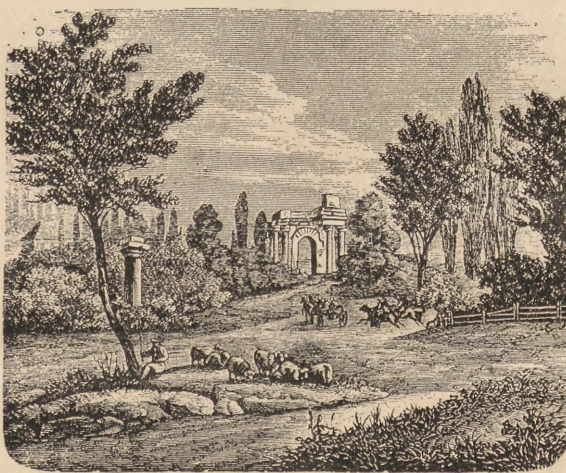
Vogiel:
Widok ogrodu Marsz. Lubomirskiej w Mokotowie. (Dziś ogród Szustra i Promenada).



Pierwszy ogród angielski w Polsce.
Ogród Ks. K. Poniatowskiego na Solcu. (Dziś mniej więcej na wprost ul. Ludnej).

Dziś, gdy znów powszechnie rozumiemy znaczenie ogrodów w mieście, z żalem wspominamy te, które gdyby nie uległy zniszczeniu uczyniłyby Warszawę o tyle piękniejszą i o tyle lepszą. Niestety ściętych drzew, zniszczonych ogrodów nie da się przywrócić do życia. Musimy dziś zakładać nowe, zamiast korzystać z roztrwonionego dorobku dawnych pokoleń. Ale tym większym powinniśmy otaczać sentymentem te, które z lat dawnych się dochowały. A wspominając o tych, które były, a których dziś już nie ma, musimy pamiętać, że ogród nie jest tylko dziełem ręki ludzkiej, ale i czasu, którego przyspieszyć nie jesteśmy w stanie. Lecz czas, który buduje, niesie również zniszczenie. Toteż wszyscy ogrody w mieście otaczać musimy opieką, bronić je przed zniszczeniem, bo same one choćby stały

tę pełną uroku malowniczość, tak charakterystyczną dla sylwetki Warszawy oglądanej z



Powązki w roku 1775.

rowych kamienic czynszowych dla biedoty. Wałem fatalnie zabudowanych, nieuregulowanych ulic spowitych wiecznie w brudne dymy kominów fabrycznych, Warszawa ogrodzona została od Wisły. Dziś nowe bulwary i wykonywana Aleja na Szkarpie mają w pierwszym rzędzie naprawić błędy wiekowego niemal zaniedbania. Aleja na Szkarpie odsłoni również resztki drzew, które zachowały się jeszcze po niektórych dawnych ogrodach. Dziś wiemy, że każde drzewo na stokach zbocza warszawskiego będzie otoczone opieką, że tych resztek ogrodów nie spotka tragiczny los Frascati. Pomnożone w drzewostanie, zachowane od zagłady, choć w części zastąpią te malownicze ogrody, które sylwetce Warszawy od strony Wisły dawały tyle piękna, malowniczości i uroku.



Sporo miesięcy minęło od chwili, gdy go ostatni raz widziałem. Chłop szczery jak złoto, poczciwy z kośćmi. W młodości zrobiono mu krzydę, prawdziwą krzywdę: wylano go z IV klasy gimnazjalnej za to, że nakłonił wszystkich współkolegów do demonstracyjnego strajku, na znak protestu przeciw zarządzeniu dyrektora, zabraniającemu uczniom pójścia na nabożeństwo z okazji Trzeciego Maja. Klasa samowolnie przerwała lekcje i poszła do kościoła. Typowy belfer austriacki dosłużył się kołnierza złotego, a mój, od długich lat wypróbowany przyjaciel, Rafał Piórnik, po takim skończeniu kariery gimnazjalnej, stroił fortepiany i... czytał książki, aż osiadł w Warszawie, gdzieś tam na Targówku i do dziś prokuruje szyldy. Twardy to chleb, ale chleb, wystarczający dla zatwardziałego i ciężkiego kawalera.

Dziś go rano spotkałem. Przytył od ostatniego widzenia się. Czarna broda, jak zwykle, starannie utrzymana. Ręka twarda, od szyldów. Lecz pokochał już tę pracę i jest w niej mistrzem, artystą.

— Męczysz się Rafałku — powiadam — z tymi szyldami, a Magistrat je ogląda, raz mu to niedobre, drugi raz tamto złe... Co?...

— Otóż sprawa jest na dobrej drodze. Musimy się zgodzić, że w ostatnich latach Warszawa nasza zyskała dużo na swym wyglądzie estetycznym. I w dziedzinie szyldów zrobiono wielki krok naprzód. Zniknęły przede wszystkim szyldy obrazkowe, na których lwy czy tygrysy podobne były raczej do jakichś przedpotopowych zwierząt o zdeformowanej postaci, na których panowie we frakach pociągali gorzałczynę na zielonej murawie itp. Dziś na fasadach domów widzimy plastyczne litery na szyldach, szkłe, marmurze, marblicie, na ścianach. Nie szpecą one architektury domu, jak dawne szyldy blaszane, drewniane czy płóciennne, których sporo jeszcze na przedmieściach naszych. Właściciele tych właśnie szyldów, skazanych na usunięcie, płacą najwyższy podatek, zaś im lepszy, im piękniejszy i droższy jest szyld, tym mniejszą zań pobiera się opłatę.

Nie mogłem Rafałkowi nie przyznać słuszności w tym całym szyldowym wywodzie. Istotnie każdy to stwierdzi, że na odcinku szyldów położył duże zasługi Inspektorat Artystyczny Zarządu Miejskiego. Lecz tak jak estetyczny jest wygląd szyldów stołecznych, tak z drugiej strony napisy na nich są bardzo często wprost karykaturą języka polskiego.

To samo stanowisko zajął mój przyjaciel, któremu również te napisy bokiem już wylazły. Ale chleb chlebem. Zarabiać musi, wykonuje więc ściśle — otrzymane zamówienia.

Tymczasem wiosenne słońce dobrze grzać zaczęło, a że obaj mieliśmy czas, udaliśmy się w podróż po warszawskich szyldach. Przewodnictwo objął Rafałek, który te napisy dawno wystudiował i dobrze miał je w pamięci.

Wyciągam bloczek z teczki i notuję. Idziemy dalej, ja znów notuję, dokładnie, bo zawsze ciekaw jestem każdej rzeczy do samego dna. Ściągam z tych szyldów i wywieszek wyrazy urągające duchowi języka ojczystego. Irytuje to mnie i Rafałka, który ostrym językiem czyni uwagi.

Modną stała się u nas bolszewicka psychoza skracania słów, wytwarzająca takie dziwolagi, jak: *Agromies, Cegłobet, Centrośrub, Budoziem, Detartrol, Garbomart, Meblorat, Moto-szlif, Primadrzew, Przemgor, Rybkoł, Szlifpraca, Śledzioryb, Tarbłoń, Trykodrut, Wodoszczęd, Węgłożar, Wódkol, Żelbet* i setki, dosłownie setki innych.

Godzę się całkowicie z moim zafrasowanym tym stanem rzeczy Rafałkiem, a z nami — sądzę — zgodzą się wszyscy czytelnicy, że wyrazy mają służyć do wzajemnego porozumiewania się, powinny więc być celowe, zrozumiałe i przystępne w swej treści.

— Rafałku! Ty z szyldami w bliskiej komitywie jesteś. Co znaczy ten cudaczny i bezsensowny wyraz „Trykobiel“, a co „Kalbot“, co „Polsweg“, a...-

— W żadnym słowniku — przerywa mi Rafałek — nie znajdziesz tego dziwactwa językowego i dobrze musisz się nagłowić, by wreszcie dociec, że „Trykobiel“, oznacza handel trykotami i bielizną, a „Kalbot“ sprzedaż kaloszy, zaś „Polsweg“: polski skład węgla. A któż do diaska wykombinuje, że „Cukro-dieta“, to sprzedaż artykułów dietetycznych dla chorych na cukrzycę. Jaki prorok odgadnie, że „Anpol-gum“, to akuratnie angielsko-polskie towarzystwo dla handlu wyrobami gumowymi.

Po tym ostatnim wyrazie splunął Rafałek dwukrotnie i nie dwuznacznie. A my wciąż idziemy z głową zadartą do góry. Patrzymy, czytamy. Ołówek pracuje. Południe się zbliża. A że mój przyjaciel był, jest i będzie zawsze gorącym patriotą i zawsze stara się być modnym, wstąpiliśmy do kawiarni „Pod Pilotem”. Dla siebie zamówił jajecznicę z siedmiu tylko jaj (udano się po nie do pobliskiego „Jajopolu”), a mnie chwycił pomidorowy gust na zsiadłe mleko. Obaj mieliśmy charci spust. Rafałek tak wylizał talerz, że rodowity Berlińczyk lepiejby nie potrafił. Osobiście pozostawiłem na stole baterię złożoną z czterech pustych szklanek. Wspólnymi zaś siłami sprzątnęliśmy ogółem tuzin pająd chleba razowego z maselkiem.

— No, Rafałku! takie śniadanie to dobrze zrobi na żołądek. Walimy dalej po szyldach.

Tu pękła bomba. Ledwie wypowiedziałem słowo „żołądek”, przyjacielowi mojemu skwaśniała mina, jakby przed chwilą wypił szklanekę piołunu. Zerwał się z miejsca, wyrównał rachunek, a żegnając się ze mną, rzekł:



...Ja i mój przyjaciel, Rafałek, udaliśmy się w podróż po warszawskich szyldach. Przewodnictwo objął Rafałek. Notujemy...

— Psiakrew! Zapomniałem na śmierć. Mam dziś w południe oddać akuszerce Anastazji Żołądek dwa gotowe szyldziki.

Za chwilę był już w tramwaju. A ja z teczką w ręku idę dalej, od szyldu do szyldu, w singeltona. Kamienice zniknęły, przeważają drewniaki, pozarogatkowy strój i zwyczaj, ołówek w ruchu, robię nowe odkrycia, a z nich wysnuwam niezbyt wniosek, że jednak chwaśtem, który porasta Warszawę, jak natrętny i złośliwy nowotwór, są bezsensowne, a tak obce językowi naszemu skrót z zakończeniem „pol”. Oto niektóre z nich, a wszystkie przeważnie koncepcji panów Epsztajnow, Knochen-tuchów i innych Margulesów: Apte-pol, Czada-pol (to nie wytwórnia czadu, lecz czapek, Dermal-pol, Diplo-pol, Dykto-pol (co kto komu dyktuje), Futro-pol, Glaz-pol, Gumpo-pol (fe), Guz-pol (to nie lekarstwo przeciw guzom na czole, to guziki), Józe-pol (tak mi imię moje zbesztali), Karton-pol, Łóże-pol (zachęcające), Metal-pol, Papier-pol, Radiopol (zamiast radiota), Raty-pol (nie dają na raty), Siatko-pol, Skrzyń-pol (to nie areszt, gdzie przyskrzyniają), Srebro-pol (sprzedaje tylko platery), Taniopol (płacisz bracie jak wszędzie), Trans-pol, Tryko-pol (bo akuratnie handluje krawatami), Verpol i setki innych jeszcze „pol-ów”.

I jak ty się czujesz, miły czytelniku, po przeczytaniu tych „polskich” wyrazów?

Ja osobiście te okaleczenia języka omal nie przepłaciłem w tym dniu katastrofą. Już pięć godzin jak Rafałek mnie odjechał; nie robię mu wyrzutu, bo interes interesem, a on „floty” potrzebuje, a ja, jak pijany parkanu, trzymam się dalej szyldów, bolejąc szczerze nad tymi łamańcami pięknej mojej mowy ojczystej, Aż tu

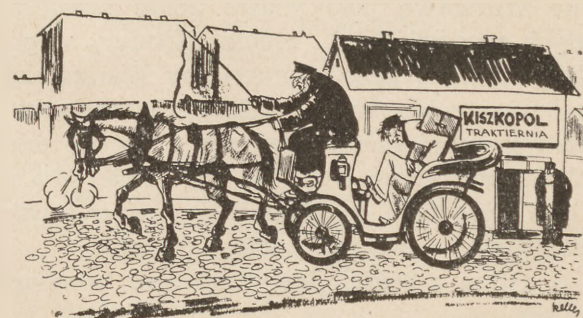
patrzę, nie wierzę, oczy przecieram, wzrok zaostriżę, nie mylę się: czytam upojny i jakże romantyzmem zalatujący wyraz „Kiszkopol” ... „Traktiernia”...

Stało się. To mię dobiło. Przełał się kielich goryczy. Chwycił mię z czarnej rozpacz nie-wymowny „kiskoból”, coś jakby skręt wewnętrzności. Zatrzymałem „jednoszkapną” dorożkę; wsiadłem; drynda jęknęła, jak źle zdrutowany garnek. Wśród psich skurczów dobiłem w okolicę Powiśla, gdzie mi leca, nie wiem dlaczego, zbyt szybko dni mojego życia.

Położyłem się do łóżka na szereg dni i byłbym, Bóg wie jak długo leżał pełen niemocy, gdyby nie pocziwina Rafałek, który mię odwiedził dziesiątego dnia. Począł mi perswadować moje niepotrzebne przejmowanie się rozmaitymi „Chirurgomed”-ami. Tłumaczył mi, że jeśli są nazwy jak: Wincenty Pol, Tarnopol, Kostopol, Konstantynopol itp., to nie ma powodu gniewać się, że istnieją na szyldach wyrazy, jak Kwaś-pol, Domka-pol, czy inny Papis-pol.

Ha! I przekonał mię.

Józef Władysław Kobylański-pol.



...Chwycił mię z czarnej rozpacz niewymowny „kiskoból”...

Warszawa, czy Poznań?

Chwila obecna nie wydaje się odpowiednią do snucia dalekosiężnych planów pokojowych.

Przyłączenie Czech i Moraw do Rzeszy Niemieckiej w formie „protektoratu” rozłoczenie „opieki” Rzeszy nad Słowacją — wszystko to wytworzyło w Europie atmosferę, w której czuć nie tylko prochem, ale i gazami trującymi.

Niemniej jednak niewolno nam wpaść już dzisiaj w psychozę wojenną. Mamy pełną ufność, że czynniki, do których to należy, uczynią wszystko, by wypadki nie zaskoczyły nas nie przygotowanych.

Nie wolno nam ani przez chwilę przerywać pracy przy warsztatach, przy jakich stoimy, nie wolno tracić nadziei, że w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, w jakiej się obecnie znajdujemy, znajdzie się jednak pokojowe wyjście. Wiara tę krzepi w nas przeświadczenie, że Polska, jak to powszechnie już dziś uznano, stanowi bardzo ważny czynnik w polityce międzynarodowej, i wola Polski na chwiejących się szalach pokoju i wojny padnie z pewnością na rzecz pokoju.

Dlatego, choć przeżywamy obecnie moment zaostrej sytuacji międzynarodowej, nie wahamy się sięgać do wzrokiem do r. 1944-go i do realizacji wielkiego przedsięwzięcia o znaczeniu państwowym, jakim będzie zamierzona ku uczczeniu 25-lecia naszej niepodległości Wystawa Powszechna w Warszawie.

Na terenach, przeznaczonych pod tę wystawę, rozpoczęto już prace niwelacyjne.

Warto tedy poświęcić nieco uwagi, by uprzątnąć pewne grzyby pojęć i dążeń, które zaśmiecają świadomość społeczno-gospodarczą w pewnych sferach naszego społeczeństwa.

W dyskusji sejmowej niektórzy posłowie wypowiedzieli się przeciwko zasadniczo zatwierdzonemu już przez Radę Ministrów projektowi urządzenia Wystawy Powszechnej w Warszawie.

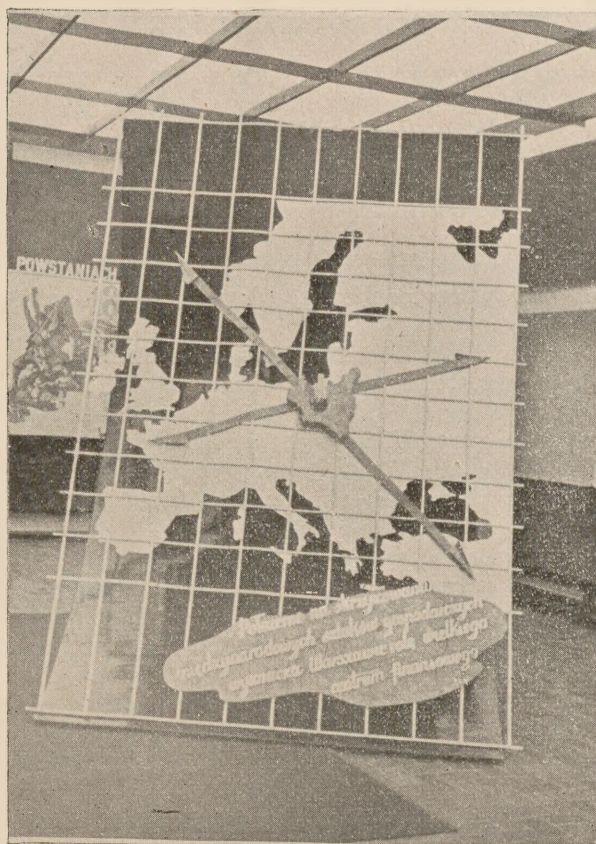
Mówiono, że w ciężkiej sytuacji gospodarczej, w jakiej się Polska obecnie znajduje, nie

stać nas na wydatek kilkudziesięciu milionów złotych, jakich wymagać będzie urządzenie wystawy.

Argument ten nie wytrzymuje krytyki: wydatki, poniesione na wystawę zwrócą się z pewnością z opłat wejściowych, opłat za stoiska itd.

Pośrednie zaś skutki gospodarcze, jak wzmożenie ruchu kolejowego i turystycznego, impuls dla nowych przedsięwzięć przemysłowych, rzemieślniczych, handlowych, dla rozszerzenia i udoskonalenia przedsięwzięć istniejących może być olbrzymi.

Należycie zorganizowany pokaz tego, cośmy w ciągu 25 lat odródnionego bytu państwowego osiągnęli, będzie napewno potężnym impulsem do nowych wysiłków na polu gospodarczym, społecznym, kulturalnym.



Warszawa — środkiem Europy.

W dyskusji sejmowej poruszono również myśl, by projektowaną na r. 1944 Wystawę Powszechną urządzić nie w Warszawie, lecz w Poznaniu.

Bo to — argumentowano — w Poznaniu była już „Pewuka” i miała powodzenie, pozostały po niej budynki, które możnaby adaptować dla przyszłej wystawy.

Okazuje się jednak, że place zajęte niegdyś przez „Pewukę” poznańską zostały już w znacznej części na stałe zabudowane, jej bardziej wartościowe budynki są już dawno zajęte, a te, które są niezajęte, nie przedstawiają żadnej prawie wartości.

Zwolennicy Poznania nie chcą również wiedzieć o tym, że miasto to leży na peryferii Rzeczypospolitej, że komunikacja z nim województw wschodnich, północnych i południowych jest bardzo utrudniona i kosztowna.

Warszawa natomiast ma pozycję centralną w Państwie, komunikacja stolicy ze wszystkimi zakątkami kraju jest stosunkowo łatwa.

Argumenty rzekomo „rzeczowe” przemawiające za urządzeniem wystawy w r. 1944-go w Poznaniu nie wytrzymują tedy krytyki.

Warto jednak poświęcić nieco uwagi tym usposobieniom czy skłonnościom psychicznym, z których wypłynęła chęć przeciwstawienia Poznania Warszawie.

Nie wahamy się twierdzić, że jednym z głównych motywów był tu separatyzm dzielnicowy.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że w Wielkopolsce nie brak dotychczas żywiołów, dla których Polska zaczyna się i kończy na Wielkopolsce.

Jeśli w Poznaniu, na posiedzeniu tamtejszej Rady Miejskiej radny mógł potraktować zastępcę w bojach o Polskę i w pracy dla m. Poznania pułkownika Więckowskiego jako „przybysza”, i wybryk ten nie spotkał się z natychmiastową reakcją innych radnych — daje to miarę głęboko zakorzenionego separatyzmu prowincjonalnego.

Tego separatyzmu nie ma Warszawa. Pracują w niej „przybysze“ z różnych dzielnic Polski, dawni emigranci z Rosji i innych krajów, i nikt im ich „obcości“ nie wytyka.

Warszawa jest dziś z pewnością najbardziej „wszechpolskim“ miastem w Polsce, nie tylko w składzie swych mieszkańców, ale i w ich poczuciu, w ich wzajemnym stosunku psychicznym.

Właśnie to prawdziwe stołeczne poczucie mieszkańców Warszawy, wolne od wszelkiego separatyzmu dzielnicowego, predystynuje ją jako miejsce Wystawy, którą mamy uczcić 25 lecie odzyskania naszej niepodległości.

Drugim czynnikiem psychicznym, który był źródłem wysunięcia projektu użytkowanie budynków pozostałych po dawnej „Pewuce“ na rzecz nowej Wystawy, jest nasze dotychczasowe nie przygotowanie psychiczne do fak-

tu, że Polska jest wielkim mocarstwem. Od niewoli i rozbiorów, od niebytu politycznego do roli wielkiego mocarstwa — to krok, zaiste olbrzymi. Dokonany on został w życiu jednego pokolenia. Nic dziwnego, że nie wszyscy zdołaliśmy się w świadomości swojej do tego kroku dociągnąć. Zbyt wielu jeszcze mamy wśród siebie ludzi „na małą skalę“. Lękamy się wszystkiego, co jest zakrojone na skalę wielką, co tchnie rozmachem. Mówimy, że to „działanie na efekt“. Nie chcemy domyśleć się, że i działanie „na efekt“ jest niezbędną funkcją państwową, że czynności reprezentacyjne obowiązują Państwo, które dźwignęło się na odpowiedni poziom w swej sytuacji międzynarodowej. 25 lecie odzyskania niepodległości — to wielka uroczystość narodowa. Musimy ją uczcić należycie, sprezentować swój dorobek swoim i obcym.

Ale znaleźli się u nas doradcy, którzy za-

lecają, byśmy na tę uroczystość wystąpili w nicowanym i połtanym garniturze. Nie! Tak nie będzie!

Wystąpimy w nowej, godnej wielkiego Narodu szacie.

Celowi temu ma służyć Powszechna Wystawa w r. 1944.

Utrwali ona charakter Warszawy jako Stolicy, wbrew niewczesnym, niewłaściwym ambicjom separatyczno-prowincjonalnym. Zadaniem Wystawy, prócz celów gospodarczych i kulturalnych, musi być „zarażenie poczuciem wielkości Polski“ jaknajszerszych mas społeczeństwa, które ją zwiedzać będą.

Jesteśmy pewni, że Wystawa Powszechna w r. 1944-tym będzie walnym czynnikiem w rozwoju naszej świadomości narodowo-państwowej, że pod jej wpływem zrozumieją obcy i najszerze masy naszego własnego społeczeństwa, że „Polska to jest wielka rzecz“.

K O L C Z Y K I C I O C I F E M C I

Przeciętny Francuz lub Anglik wyobraża sobie Warszawę jako miasto pełne kozaków, białych niedźwiedzi i... wódki. Niestety w podobnie opaczny sposób przeciętny Warszawiak wyobraża sobie rolę niektórych instytucji państwowych i samorządowych, o ile nie miał z nimi bezpośredniego nic do czynienia. Można o tym doskonale przekonać się na wystawie „Warszawa — wczoraj, dziś i jutro“.

A jedną z takich instytucji jest Lombard Miejski.

Z Lombardem spotyka się przeważnie człowiek będący w biedzie i stąd tę instytucję społeczną otacza zwykle aureolka uczuć raczej negatywnych. Zupełnie niesłusznie.

Wielu ludzi wstydzi się załatwiać, wstydzi się pokazać w Lombardzie, nie rozumiejąc, że spotkać tam można ludzi, którzy również jak oni sami chwilowo znajdują się w trudnościach materialnych i wolą poratować się zastawem aniżeli oddać się w ręce lichwiarzom, czy co gorsza puścić się samemu na niepewne drogi kombinacji mniej lub więcej uczciwych, czy też... machnąć ręką na własną inicjatywę i żebrać. Ludzie zastawiający, to ludzie, którzy walczą i którzy walcząc, dzięki niepozornym zastawom potrafią przetrwać najcięższe okresy. Nie wiele osób wie, że ludzie znani powszechnie na terenie Warszawy, stają niekiedy w kolejce klientów lombardu. Nie ma w tym nic dziwnego i nie „wstydzącego“. Klientela Lombardu jest najróżnorodniejsza, przeważają jednakże warstwy pracownicze, stąd też po „pierwszym“ sale Lombardu są przepełnione, jedni przychodzą opłacać procenty, drudzy wykupują zastawy, a bezrobotni zaciągają pożyczki na opędzenie najpilniejszych potrzeb życiowych. Do tych najliczniejszych klientów Lombard przeważnie dopłaca Procent bowiem pobierany od

pożyczek poniżej 35 zł nie pokrywa kosztów przechowania, asekuracji i oszacowania zastawów itp., manipulacji. Jest to dowodem, że Lombard jest instytucją o charakterze społecznym, a nie obliczoną na zysk.

Któregoś dnia, gdy dyżurowałem przy stoisku Lombardu na wystawie podeszły dwie paniusie:

— O widzisz Maniu, tu jak co przyniesiesz to się z tym pożegnaj, przepadło, sprzedali na licytacji.

— Uśmiechnąłem się i rozpocząłem rozmowę: — Pewnie pani coś już straciła przez naszą instytucję.

— A tak proszę pani. I wiele. Dwie obrączki i kolczyki po ciotce. Wiesz (zwróciła się do towarzyszki) po cioci Femci.

— Napewno wino nie leży po naszej stronie. Przecież mogła pani prolongować pożyczkę.

Paniusia szczerze zdziwiła się.

— Co proszę?

— Prolongowanie, to jest przedłużanie pożyczki.

— Nie rozumiem.

Trzeba było zacząć z innej beczki.

— Zastawiła pani obrączki i kolczyki po cioci Femci i otrzymała pani pożyczkę na pewien okres?

— Zgadza się, jakby pan był przy tym.

— Czy, gdy już ten termin zapłaty minął, poszła pani do Lombardu powiedzieć, że narażnie nie może pani zapłacić i czy prosiła pani by pozwolili zapłacić trochę później.

— Ach proszę pana, czy ja wtedy miałam czas?

Przecież akurat były wakacje więc musiałam na wsi przebywać. A pieniądze to nawet miałam. A potem zapomniałam jakoś...

— A widzi pani. To pozwoli pani, że jej

powiem cośmy z obrączkami i kolczykami zrobili.

— Proszę bardzo, ciekawa jestem..

— Więc razem z panią było jeszcze w tym dniu wiele takich osób. Wyplaciliśmy wtedy pożyczek na kilkanaście tysięcy złotych i jak zawsze na określony termin. Wiemy z doświadczenia, że ca 30% zastawiających nie zgłasza się po wykup zastawów. Po oznaczonym terminie czekamy miesiąc, dwa, sześć, ponosimy koszty ogłoszeń w kilkunastu pismach z przestroją, że pożyczki z takim to, a takim terminem płatności będą sprzedane na licytacji. Niezależnie od tego mając adresy niektórych zastawów, zawiadamiamy ich listownie. Klientela nie reaguje. Przez pani wakacje, zapomnienie i podobne postępowanie innych zastawców nie możemy unieruchamiać kapitałów, na które czeka wiele osób znajdujących się chwilowo, tak jak swego czasu pani, w trudnościach materialnych, a niechęcych oddać się w ręce lichwiarza.

Uratowanie więc obrączek i kolczyków zależało tylko od pani.

— Zgoda?

Pani kiwnęła głową i odeszła.

Na szczęście takich pań jest coraz mniej. Społeczeństwo coraz lepiej zdaje sobie sprawę z roli i zadań Lombardu.

Dyrekcja Lombardu Miejskiego w trosce o wygodę i oszczędność czasu klientów rozszerzyła salę operacyjną, powiększyła ilość okienek dla interesantów, zwiększyła ilość personelu. Niestety już obecnie okazuje się to niewystarczające. Konieczność urządzenia lokalu według projektu przedstawionego w makiecie na Wystawie „Warszawa — wczoraj, dziś i jutro“, staje się palącą. Miejmy nadzieję, że projekt ten zostanie jaknajprędzej zrealizowany. Jan Wawrzynkowski.

W C Z A S Y Z I E L O N E

Wiosna w tym roku pojawiła się nadszpiewanie wczesnie.

Czuć ją wszędzie, w wykluwających się pąkach drzew i krzewów, w ciepłych podmuchach wiatru i kluczach ciągnącego nad polskie łąki i jeziora dzikiego ptactwa.

Wiosna, to zapowiedź bliskiego już lata, a z nim trosk wielotysięcznej rzeszy naszych koleżanek i kolegów, o spędzenie w warunkach odpowiednich dla zdrowia, urlopu letniego.

Mamy do zanotowania miłą wiadomość.

Pracownicza Komisja Samopomocy Społecznej, dążąc do objęcia akcją wczasów możliwie największej liczby koleżanek i kolegów, wprowadza w akcji tegorocznej szereg zmian i udogodnień, mających na celu umożliwić wypoczynkiem letni również najniższ zarabiającym pracownikom, oraz ich rodzinom.

Poczynając już od 15 maja r. b. uruchomione zostaną ośrodki wypoczynkowe w Żegiestowie, Zakopanem i Jabłonkowie. Ambicją organizatorów jest dążenie, do wydatnego obniżenia opłaty za 2-tygodniowy pobyt w tych ośrodkach.

Opłata ta ustali się prawdopodobnie na poziomie złotych 60-ciu.

Dalsze ośrodki letnie uruchomione zostaną z dniem 1 czerwca r. b. nad morzem w Kuźnicy lub na Helu,

na Podkarpaciu, w Kutach i na Grodzieńszczyźnie w Augustowie. Opłaty w tych ośrodkach będą już nieco wyższe i prawdopodobnie wyniosą około 90-ciu złotych za 2-tygodniowy w nich pobyt.

Znacznemu rozszerzeniu ulegnie akcja letniskowa, przeznaczona dla pracowników, posiadających rodziny.

Pracownicza Komisja Samopomocy Społecznej dąży tutaj do połączenia trzech momentów: — tanioci opłaty za locum, z możliwie dobrym dostosowaniem wynajętych mieszkań ze względu na ich położenie, do celów letniskowych i z wygodną lokomocją, któraby umożliwiła pracownikowi codzienny dojazd do znajdującej się na letnisku rodziny.

Znalezienie odpowiedniej ilości pomieszczeń letniskowych odpowiadających powyższym warunkom, pomieszczeń, położonych w promieniu nie dłuższym niż 50 klm od Warszawy, na trasie wygodnych linii komunikacji kolejowej, nie jest zadaniem łatwym.

Obszerniejszego komunikatu w sprawie letnisk, który zawierać będzie dane o miejscu ich położenia i opłatach, spodziewać się należy w czasie najbliższym.

Ze specjalną życzliwością powitać należy inicjatywę zorganizowania ośrodka sportowo-wypoczynkowego dla dzieci w wieku lat 5—15 w Rabce.

Na ośrodku tym odbędą się 2 jednomiesięczne turnusy, 1-szy w lipcu, drugi zaś w sierpniu.

Niespodzianka czeka również kajakowców, dla których przewidziano przy odpowiedniej ilości zgłoszeń, urządzenie dwutygodniowej wycieczki po znanych ze swych uroków rzekach Polesia.

Leżąc dotychczas odlogiem sprawa jednodniowych wycieczek świątecznych, ma się doczekać w roku bieżącym programowego jej rozwiązania. Za cenę normalnego biletu tramwajowego, pracownicy wyjeżdżać będą mogli ze swymi żonami i milusińskimi, w każde święto i niedzielę do puszczy Kampinoskiej, lasku Kabackiego, parku młocińskiego itd. Na wycieczkach takich organizowane będą dla dzieci i młodzieży gry i zabawy sportowe pod kierownictwem przedszkolank i instruktorów, co niewątpliwie obok innych rozrywek i przyjemności, pozyska dla tego rodzaju wypoczynków miłośników, nie tylko wśród młodzieży, lecz również i wśród osób starszych.

Bogaty program tegorocznej akcji wczasów dopełni we wrześniu, tj. w okresie winobrania wycieczka na Węgry, której kosztu miejmy nadzieję — skalkulowane zostaną na poziomie, dostępnym dla szerokiego grona koleżanek i kolegów.

Tadeusz Pomian

Warszawa, jako przyszły węzeł komunikacji lotniczej

Lotnictwo komunikacyjne, ze względu na swe wszechstronne znaczenie w życiu nowoczesnego państwa oraz na swe możliwości rozwojowe, w porównaniu z komunikacją lądową i morską — coraz bardziej staje się jednym z najważniejszych zagadnień w dziedzinie komunikacji światowej, a tym samym posiada doniosłe znaczenie dla kształtowania się stosunków międzynarodowych.

To też państwa, przewidujące czynią wszelkie wysiłki, aby na oceanie powietrza zająć odpowiednie miejsca, by zapewnić przyszłym pokoleniom wszystkie dobrodziejstwa, jakie ludzkość uzyska z komunikacji powietrznej.

Pamiętać musimy, że ocean powietrza łączy bez zasadniczych przeszkód wszystkie zakątki zamieszkałe go przez nas globu i że Polska, upośledzona pod względem morza, specjalną uwagę musi zwrócić na ocean powietrzny.

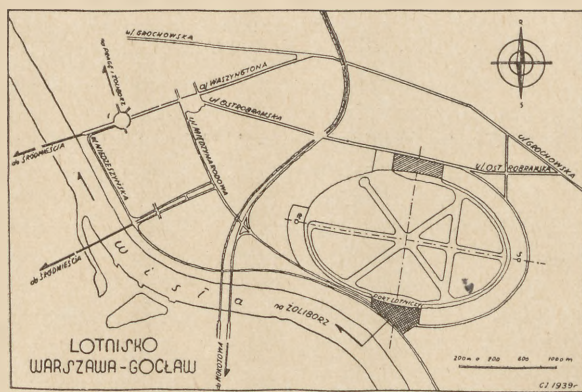
Położenie geograficzne Polski jest specjalnie korzystne, jeśli chodzi o komunikację lotniczą na skalę światową. Środkowe położenie Polski w Europie oraz równinne ukształtowanie kraju stwarza doskonałe warunki dla komunikacji lotniczej. Po przez Polskę prowadzą najkrótsze szlaki powietrzne, łączące z jednej strony Europę Zachodnią z Europą Wschodnią i Azją Środkową, z drugiej zaś kraje Basenu Bałtyckiego z Europą Środkową, portami Morza Śródziemnego i Bliskim Wschodem, gdzie znajduje się naturalny węzeł wszelkich szlaków międzykontynentalnych, biegnących do Południowej Afryki i na Daleki Wschód.

Rzuciwszy okiem na mapę szlaków powietrznych, krzyżujących się w Polsce spostrzec musimy, że rysują się tu wyraźnie dwa zasadnicze kierunki, a to: Północ-Południe i Zachód-Wschód.

Pierwszy kierunek tworzy linia, biegnąca od Londynu przez Berlin, Warszawę, Ateny, Palestynę do

ganiom i potrzebom szybko rozwijającego się lotnictwa komunikacyjnego, postanowiono budowę nowego lotniska, przeznaczonego wyłącznie dla ruchu komunikacyjnego.

Dwuletnie studia, prowadzone przez Departament Lotnictwa Cywilnego, doprowadziły do wyboru miej-



sca. Pod przyszłe lotnisko przeznaczone zostały rozległe tereny, położone na Gocławku. Tereny te, jako znajdujące się w strefie zalewanej, wymagały całego szeregu inwestycji w postaci odprowadzenia wód kolektorem do Wisły, oraz budowy stacji pomp w miejscowości Las. Zaprojektowano również drenaż całego pola. Przeprowadzenie tych inwestycji jest w toku. Do budżetu Ministerstwa Komunikacji wstawiono w roku budżetowym 1938/39 kwotę 2 1/2 miliona złotych na prace, związane z budową nowego lotniska.

Lotnisko na Gocławiu będzie jedną z największych inwestycji, dokonywanych w ostatnich latach w Warszawie. Ogólny obszar lotniska t. zn. pole wlotów, pas gruntów ochronnych oraz tereny zabudowane wynosić będzie około 440 ha. Szczególną uwagę poświęcono rozplanowaniu pola wlotów, przy czym brano pod uwagę nie tylko warunki terenowe, ale w pierwszym rzędzie atmosferyczne. Układ pola wlotów przystosowany być musi bowiem do kierunku wiatrów najczęściej panujących w Warszawie. Pole wlotów będzie miało kształt elipsy o osiach 2600×1600 m, przy czym dłuższa oś zwrócona jest w kierunku półn. zach. Na tej osi też będzie zbudowana radiolarnia, która służy do lądowania w czasie złej widoczności. Radiolarnia jest dziś koniecznym wyposażeniem każdego nowoczesnego lotniska. Pilot w czasie złej widoczności podchodzi do lądowania po pewnym z góry już oznaczonym kierunku, przy czym posługuje się wskazówkami głosowymi (kropki i kreski), nadawanymi przez radiolarnię a odbieranymi przez stację, zbudowaną na samolocie. Droga nalotu na radiolarnię będzie na lotnisku gocławskim na dużej przestrzeni wolną od wszelkich przeszkód terenowych, jak wysokie domy, wieże, kominy drzewa itp.

Pole startów i lądowań przecięte będzie drogami o szerokości ponad 100 m o twardej nawierzchni, co zapewni możliwość startów i lądowań w każdej porze roku, podczas gdy dziś lotnisko na Okęciu w czasie roztopów wiosennych, czy deszczów jesiennych jest często zamknięte przez wiele dni. Drogi te rozchodzić się będą promieniście co zapewni możliwość startów i lądowań w każdym kierunku w zależności od wiatru.

Ponieważ Polskie Linie Lotnicze „LOT” wprowadziły w b. sezonie nocne loty (na linii Warszawa-Ateny) oraz w przewidywaniu wzmoczonego ruchu lotniczego w porze nocnej, lotnisko gocławskie pod względem oświetlenia wyposażone będzie pierwszorzędnie. Wszystkie wyższe obiekty, znajdujące się w pobliżu lotniska, oznaczone będą t. zw. światłami przeszkodowymi w kolorze czerwonym. Całe pole wlotów ujęte będzie w ramę światła białego, wyznaczającego zarys lotniska. Strzały kierunkowe, oznaczające samolotowi, znajdującemu się w powietrzu, kierunek lądowania

gujący, mając przed sobą makietę z planem lotniska, na której będą się zapalały równocześnie te same światła co i na lotnisku, będzie ze swej kabiny mógł kierować całym ruchem, mając przed sobą przejrzysty obraz stanu światła na lotnisku.

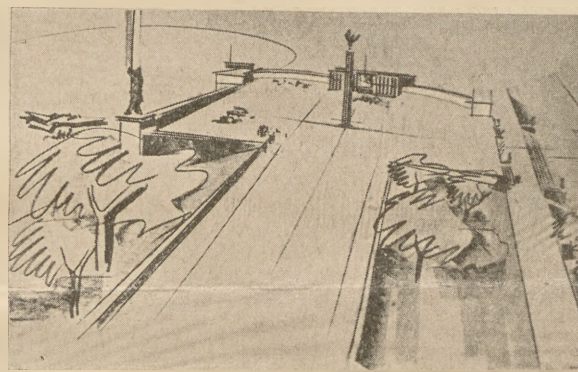
Obecnie na Okęciu brak jest odpowiedniej sygnalizacji świetlnej, a w czasie nocnego lądowania kierunek wiatru wskazuje się za pomocą lamp naftowych, rozstawianych na polu.

Zabudowania portu lotniczego, a więc sam dworzec oraz hangary i stocznie zaprojektowane zostały po południowej stronie między lotniskiem i Wisłą.

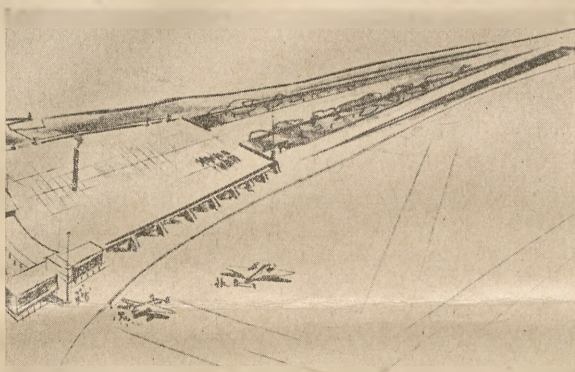
Dworzec lotniczy przystosowany zostanie do przyjęcia znacznej liczby pasażerów. Budowany przed kilku laty port cywilny na Okęciu dziś jest już za mały i w roku b. wobec nagłej potrzeby zostaje rozbudowany. Nowy port budowany będzie „na wyrost” a obok wygodnych pomieszczeń na biura kierownictwa ruchu, znajdą się też komfortowe poczekalnie dla pasażerów, restauracja, jak również i hotel dla pasażerów, oczekujących na dalsze połączenia.

Szybki dojazd z lotniska do centrum ułatwiony będzie przez budowę specjalnej drogi, przechodzącej po trasie ul. Międzynarodowej, do Alei Waszyngtona. Z chwilą wybudowania przewidzianych w planie regionalnym nowych mostów (na wprost Al. Stanów Zjedn. i obecnego wału gocławskiego) port lotniczy uzyska nowe bezpośrednie połączenie z południową częścią miasta. Przez wykonanie tych arterij dojazd z centrum miasta do portu lotniczego będzie trwał kilka minut — co ze względu na najważniejszy atut komunikacji lotniczej, jaką jest szybkość, ma zasadnicze znaczenie. Całkowite zrealizowanie tej tak zasadniczej inwestycji koniecznej dla rozwoju komunikacji lotniczej, projektowane jest w ciągu 4-ch lat kosztem 40 milionów złotych.

Z projektowanych prac została wykonana dotych-



Widok na dworzec i plac reprezentacyjny od strony dojazdu.



Widok na dworzec i plac reprezentacyjny (na wyższym poziomie) od strony pola wlotów.

Bejrutu. Drugi kierunek tranzytowy, biegnący przez Polskę, to szlak Północ-Południe od Helsinek przez Warszawę po Rzym, łączący Bałtyk z Adriatykiem.

Oba te szlaki powietrzne, przecinające się w Warszawie, biegną w dwóch różnych kierunkach i przemierzają niemal całą Europę.

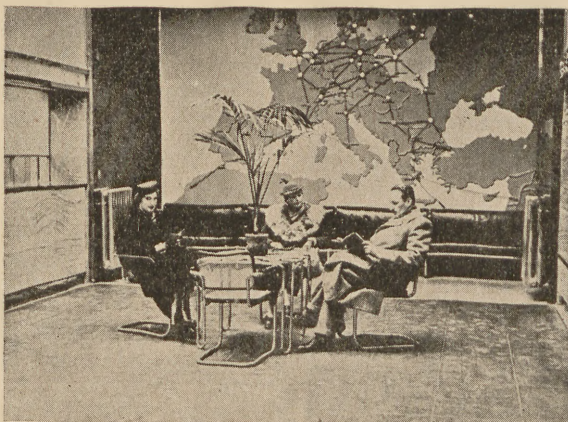
Kierunek rozwojowy Polskich Linii Lotniczych „LOT” jest wynikiem stosunków gospodarczych i kulturalnych, łączących Polskę z państwami, przez które przechodzą nasze szlaki powietrzne.

Nie wystarczy jednak rozbudowywać własną sieć powietrzną, ale jednym z warunków byśmy się stali państwem lotniczym — jest przepuszczanie przez Polskę samolotów zagranicznych Towarzystw. Polska ma warunki po temu, by przez jej terytorium szedł wielki ruch lotniczy. Z chwilą nawiązania stosunków gospodarczych przez państwa europejskie z Rosją Sowiecką, przez Polskę będzie musiała przejść linia równoleżnikowa, biegnąca z Zachodu na Wschód. W tym kierunku pójść wówczas zapewne nie tylko linie do Moskwy, ale i komunikacja Zachodniej Europy z Chinami i Japonią, jako drogą najkrótszą i najodpowiedniejszą. Z chwilą, gdy otworzy się dla tranzytu lotniczego granica Rosji, wszystko przemawia za tym, że i połączenia z Bliskim i Dalekim Wschodem, oblatywane obecnie drogą południową nadmorską, zostaną wzmocnione nowymi połączeniami ponad kontynentem i nie ominą Warszawy.

W chwili obecnej na lotnisku warszawskim prócz samolotów LOTU lądują jeszcze samoloty 5-ciu towarzystw zagranicznych. Są to samoloty angielskie, francuskie, niemieckie, rumuńskie i węgierskie. Jest to oczywiście niewiele, ale w porównaniu z latami ubiegłymi należy to uważać za wielki krok naprzód.

Podstawowym warunkiem ściągnięcia tranzytu lotniczego na nasz teren jest rozbudowa przyziemi. Jak zaznaczyłem, Warszawa leży na drodze wielkich szlaków transkontynentalnych i w przyszłości odegrać może dużą rolę, jako ważny węzeł komunikacji lotniczej. Trzeba się jednak do przyjęcia ruchu lotniczego odpowiednio przygotować. Jak do małego portu morskiego nie zawinie nigdy żaden statek atlantycki, tak i na małym i źle urządzonym lotnisku nie będzie lądował samolot, obsługujący szlaki transkontynentalne. Pierwszym więc warunkiem jest dobre lotnisko.

Ponieważ obecnie lotnisko warszawskie, położone na Okęciu z wielu względów nie odpowiada wyma-



Hall w porcie cywilnym na Okęciu.

umieszczone będą wzdłuż dróg startowych i zapalane będą w zależności od kierunku wiatru. Prócz tego do oświetlenia lotniska służyć będzie bateria reflektorów przyziemnych. Cała sygnalizacja świetlna kierowana będzie ze specjalnej wieży, przy czym obsłu-

czas niewielka tylko część. Nabyto połowę potrzebnych obszarów, zniwelowano je i wybudowano stację pomp. Reszta prac zależna jest od wpływów pieniężnych.

Jeżeli Warszawa otrzyma na czas odpowiednie lotnisko komunikacyjne, może się stać w przyszłości, dzięki swemu położeniu, ważnym węzłem komunikacji lotniczej.

Za przykład, że sumy przeznaczone na budowę lotniska komunikacyjnego nie są wydatkiem zbędnym niech posłużą przykłady obce. W Berlinie jest już na ukończeniu olbrzymie lotnisko, znajdujące się w centrum miasta. Kiedy okazała się konieczność rozbudowy istniejącego lotniska, nie wahano się zburzyć całych ulic i olbrzymich bloków kamienic, by uzyskać potrzebne tereny.

Pojęcie o rozmiarach tej olbrzymiej budowy uwytkła fakt, że będzie to największy gmach w Berlinie.

Również i w Paryżu przebudowano w ub. roku dotychczasowe lotnisko, przystosowując je do przewidywanego rozwoju komunikacji lotniczej.

Spodziewać się należy, że nowa brama powietrzna do Warszawy zostanie z równym rozmachem zrealizowana, jak postępuje naprzód rozbudowa Nowej Warszawy.

LICYTACJA.

Dnia 16 maja 1939 roku o godzinie 16-ej w sali licytacyjnej Centrali Warszawskiego Lombardu Miejskiego, Senatorska 16, Gmach Ratusza, rozpocznie się licytacja zastawów przyjętych na zabezpieczenie pożyczek w Centrali i Oddziale Lombardu do 31 grudnia 1938 roku włącznie i nie prolongowanych. Numery zastawów podlegających sprzedaży będą wywieszone na dwa tygodnie przed terminem licytacji w lokalach biurowych Lombardu.

**WYTWÓRNIA ŚLUSARSKA
ANTONI SZMALEMBERG**
WYROBY OZDOBNÉ z żelaza kutego i konstrukcje.
Warszawa, ul. Skierniewicka Nr 12. Telefon 5-89-54.

Polscy Zjednoczeni Przemysłowcy Garbarze Sp. Akc.

Warszawa, ul. Dzika Nr 15.

Solarnia skór surowych przy Rzeźni Miejskiej w Warszawie.

Skóra, pochodząca z uboju zwierząt gospodarskich, jest podstawowym surowcem garbarza i od jakości tego surowca zależy jakość produktu wyprawionego, a co dalej idzie jakość przedmiotu wyrobionego ze skóry, a w pierwszym rzędzie obuwia.

Przez złą gospodarkę i brak zrozumienia ważności tego zagadnienia, nasze skóry surowe krajowe były w karygodny sposób niszczone i obniżone w swej wartości przez złe zdjęcie, oraz przez złą konserwację, dokonywaną przez przygodnych handlarzy i pośredników, nieposiadających w tym przedmiocie najmniejszych wiadomości fachowych.

Straty, jakie ponosiło z tego powodu gospodarstwo narodowe, sięgały milionów złotych. Chcąc temu fatalnemu stanowi zapobiec, organizacje zawodowe przemysłu i rzemiosła garbarskiego, postanowiły przejąć inicjatywę w swoje ręce i wystąpić z projektem

zorganizowania racjonalnych solarni skór surowych przy rzeźniach, mających na celu przeprowadzenie ścisłej kontroli nad racjonalnym zdejmowaniem skór, sortowaniem surowca skórnego według norm, ustalonych przez Komitet Normalizacyjny przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu, konserwowaniem surowca w sposób fachowy, zabezpieczający surowiec ten przed psuciem, jednym słowem przeprowadzenia całkowitej standaryzacji skór surowych krajowych. Wysiłki tych organizacji poszły przede wszystkim w kierunku stworzenia racjonalnej solarni skór surowych przy Rzeźni Miejskiej w Warszawie. Projekt ten spotkał się z całkowitym zrozumieniem Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, który doceniając, jak ważnym jest zagadnienie racjonalnej gospodarki skór surowych, poszedł organizacjom garbarskim całkowicie na rękę. Wprowadził w życie odpowiednie przepisy, zabraniające wywożenia skór surowych z rzeźni w stanie niezakonserwowanym, postawił do dyspozycji ekspozyturę handlową przemysłu garbarskiego, Spółce Akcyjnej „Polscy Zjednoczeni Przemysłowcy Garbarze” odpowiednie pomieszczenie na terenie rzeźni i polecił na podstawie specjalnej umowy wykonywać całokształt standaryzacji skór surowych na rzecz posiadaczy skór.

Już w bardzo krótkim czasie rezultaty pracy przeszły jak najśmielsze oczekiwania. Uszkodzenia skór na skutek wadliwego zdjęcia spadły do 2%, gdy w innych miastach Polski wynoszą 50—80%. Zawdzięczając racjonalnemu oczyszczaniu, sortowaniu i ważeniu skór, wartość surowca wzrosła o blisko 30%.

Niezależnie od powyższego dzięki powstaniu solarni zostało w znacznej mierze wyeliminowane pośred-

nictwo handlowe i garbarz jest obecnie w stanie zakupować surowiec bezpośrednio od rzeźnika. Dzięki powstaniu solarni, skóry uboju rzeźni stołecznej, to jest ca 90 tys. szt. skór bydlęcych i ca 250 tys. szt. skór cielęcych rocznie, stanowią surowiec pierwszorzędnej jakości, nieustępujący pod względem zdjęcia i konserwacji surowcowi zagranicznemu.

Inicjatywa przemysłu garbarskiego idzie obecnie w kierunku zorganizowania podobnych solarni i w większych miastach prowincjonalnych, a nawet już w niektórych solarniach tego rodzaju zostały stworzone.

Zarząd Miejski m. st. Warszawy, oraz Dyrekcja Rzeźni w Warszawie, docenia ważność tej akcji na terenie prowincji i deleguje wykwalifikowanych pracowników rzeźni, jako instruktorów, na pewien okres do rzeźni prowincjonalnych, celem wyuczenia tamtejszych pracowników racjonalnego zdejmowania skór.



Kontrola, sortowanie i ważenie skór.



Solenie i układanie skór.

INFORMATOR

Zjednoczenie Towarzystw Opieki nad Zwierzętami, ul. Wilcza nr 47/49.

Jeśli zdarzy się komu być świadkiem złego obchodzenia ze zwierzętami, lub nieszczęśliwego wypadku zwierzęcia, należy bezzwłocznie powiadomić Zjedn. Tow. Op. nad Zwierzętami (tel. 866-44). Tamże lecznica czynna w godz. 11—13 i 17—19; na miejscu kąpanie i stryżenie. Oddział: ul. Krak. Przedm. nr 10 czynny w godzinach 17—19.

Dom Turystyczny, tel. 669-74.

Muzeum Techniki i Przemysłu, Tamka 1 — dostępne dla zwiedzających codziennie, oprócz niedziel i świąt — w godzinach od 10—14-ej Ceny wejścia: normalne 45 gr, uczniowskie 25 gr. Wycieczki dla dorosłych — 25 gr, wycieczki szkolne — 20 gr.

Muzeum Przemysłu i Rolnictwa — Krak. Przedm. 66. W Muzeum zbiory eksponatów rolniczych i etnograficznych — zwiedzać można codziennie, oprócz niedziel i świąt w godz. 10—14. Wstęp dla wycieczek szkolnych 29 gr. Kierownicy wycieczek bezpłatnie. Indywidualnie dorośli płać 45 gr, młodzież 20 gr. Po porozumieniu się z przewodnikiem na miejscu.

Wydział Szpitalnictwa, Plac Weteranów 4. Dyrektor: Dr Konrad Orzechowski.

Wydział dzieli się na 4 sekcje: ogólną, rachunkowo-budżetową, gospodarczą i fachowo-lekarską (lecznictwa).

Poza zwykłymi godzinami biurowymi w Wydziale stale przebywa do godziny 19-ej lekarz dyżurny, do czynności którego należy umieszczanie chorych w szpitalach i zakładach leczniczych (tel. 10.29-34).

Wydziałowi podlega 11 szpitali ogólnych i specjalnych i 2 zakłady położnicze, sanatorium dla chorych płucnych w Otwocku i szpital-sanatorium dla chorych płucnych (kobiet) w Mieni, prócz

tego Miejska Szkoła Położnych, Miejska Składnica Materiałów Aptecznych, 8 przychodni dla chorych (przy szpitalach) i Miejska Pomoc Lekarska. Przy szpitalu Przem. Pańskiego i Starozakonnym istnieją szkoły pielęgniarstwa — przy pierwszym dla SS. Miłośników, przy drugim dla pielęgniarek świeżekich.

SZPITALA I ZAKŁADY POŁOŻNICZE.

Szpital Dzieciątka Jezus, Lindley'a nr 4.

Szpital Starozakonnym, Dworska 17
Szpital Przemienienia Pańskiego, Plac Weteranów 4.

Szpital św. Ducha, Elektoralna 12.

Szpital Wolski, Płocka 26.

Szpital św. Rocha, Krakowskie Przedmieście 24.

Szpital św. Stanisława, Wolska 37.

Szpital św. Łazarza, Książęca 2.

Instytut Oftalmiczny (choroby oczu), Smolna 8.

Szpital św. Jana Bożego (dla umysłowo-chorych), Bonifraterska 12.

Szpital im. Karola i Marii (dla dzieci), Leszno 136.

Zakład Położniczo - Ginekologiczny im. Ks. Anny Mazowieckiej, Karowa 2a.

Zakład Położniczo - Ginekologiczny św. Zofii, Żelazna 90.

Sanatorium w Otwocku.

Szpital św. Józefa w Mieni (st. kol. Mienia, pow. Mińsko-Mazowiecki).

Odwiedzanie chorych w szpitalach odbywa się w niedzielę i święta oraz w czwartki, w godzinach od 14 do 16, na podstawie przepustek wręczanych rodzinie przez lekarza dyżurnego przy przyjęciu chorego do Szpitala. Ze względu na stan zdrowia chorych oraz zapewnienie spokoju i porządku w szpitalu chorego może odwiedzać jednorazowo tylko 2 osoby.

Ze względu na charakter w szpitalu zakaźnym św. Stanisława, w szpitalu dla dzieci im. Karola i Ma-

rii oraz w Zakładach Położniczych odwiedziny chorych odbywają się 1 raz w tygodniu z warunkiem zachowania wszelkich wymagań i zarządzeń lokalnych, dyktowanych troską o zdrowie chorych i bezpieczeństwo odwiedzających.

AMBULATORIA.

Godziny przyjęć od 8—14 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt.

Przy Szpit. Dziec. Jezus. Ambulatorium udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, laryngologiczne, oczne, kobiece, dziecięce, nerwowe i stomat.

Przy Szpitalu Starozakonnym. Ambulatorium udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, skórne, weneryczne, laryngologiczne, oczne, nerwowe, kobiece i stomat.

Przy szpit. Przemienienia Pańskiego. Ambulatorium udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, skórne, weneryczne, laryngologiczne, oczne, nerwowe, kobiece, dzieci i stomat.

Przy Szpit. św. Ducha. Ambulatorium udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, skórne, weneryczne, urologiczne, laryngologiczne, oczne, nerwowe, kobiece i stomat. oraz naświetlania.

Przy szpitalu św. Rocha. Ambulatorium udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, dziecięce, i stomatologiczne.

Przy szpitalu św. Łazarza. Amb. udziela porad na choroby wewnętrzne, skórne, weneryczne, urologiczne i dziecięce.

Przy szpit. im. Karola i Marii. Amb. udziela porad na choroby: wewnętrzne, chirurgiczne, skórne, laryngologiczne, oczne i nerwowe.

Przy Instytucji Oftalmicznej. Amb. udziela porad na choroby oczne.

Kliniki Uniwersyteckie prowadzą własne ambulatoria.

Miejska Szkoła Położnych, Karowa 2, tel. 6.33-01.

Szkoła posiada 2 oddziały, mieszczące się przy zakładzie im. ks. Anny Mazowieckiej i św. Zofii — 2-letni kurs nauki obejmuje prócz wykładów teoretycznych, obowiązkowe zajęcia praktyczne w wym. zakładach. Od kandydatek wymagane jest ukończenie nie mniej jak 7 klas szkoły powszechnej. Po ukończeniu kursów i zdaniu egzaminów, absolwentki otrzymują dyplomy, uprawniające do praktyki w całym Państwie. Opłata roczna wynosi 200 zł, płatne w 4-ach ratach kwartalnych.

Miejska Pomoc Lekarska, Plac Weteranów 4, tel. 10-20-16.

Miejska Pomoc Lekarska jest instytucją analogiczną do Ubezpieczalni Społecznej w zakresie ubezpieczenia chorobowego, dla wszystkich stałych pracowników miejskich i emerytów, łącznie z przedsiębiorstwami. Do świadczeń należą: porady lekarskie, lekarstwa, leczenie szpitalne i sanatoryjne. Liczba zatrudnionych lekarzy wynosi 107. Budżet Miejskiej Pomocy wynosi około 2 milionów 600 tysięcy zł. Lekarze przyjmują w większości w swoich gabinetach, niektóre specjalności są scentralizowane w ambulatoriach.

Opłaty obowiązujące za leczenie w szpitalach miejskich w r. 1938/39 i 1939/40.

	III kl. zł	II kl. zł	I kl. zł
W szp. ogólnych	6,80	9,50	12,—
gminy obce	7,80	9,50	12,—
„ Karola i Marii	9,—	—	—
gminy obce	10,—	—	—
„ św. J. Bożego	5,50	—	—
gminy obce	6,30	—	—
„ św. Stanisława	6,25	9,50	—
gminy obce	7,25	9,50	—
W inst. Oftalmiczn.	6,20	9,50	—
gminy obce	7,20	9,50	—
W Zakł. Położnicz.	8,50	10,50	12,—
W San. w Otwocku	7,50	10,50	12,—
gminy obce	8,—	10,50	12,—

WYDAWNICTWO PRACOWNICZEJ KOMISJI SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ w MIEŚCIE STOŁECZNYM WARSZAWIE.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA — ul. Koszykowa 9, tel. 7-26-31. REDAKTOR z ramienia P. K. S. S. Roman Zrębowski.

CENA ZA EGZEMPLARZ 25 GR.